

NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie: W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.

Prenumeratę przyjmuje **W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6, telefon Nr. 507—23,** oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi. — **Ceny ogłoszeń na Królestwo Polskie:** za wiersz jednoszpaltowy pod tekstem 50 kop. — na ostatniej stronie i w miejscu specyalnie zastrzeżonem 15 kop. — ogłoszenia zwykłe 10 kop.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XI. **Kraków, 18 lipca 1914.** **Nr. 29.**

Lasy płoną.

(Treść na str. 2).



Lasy płoną.

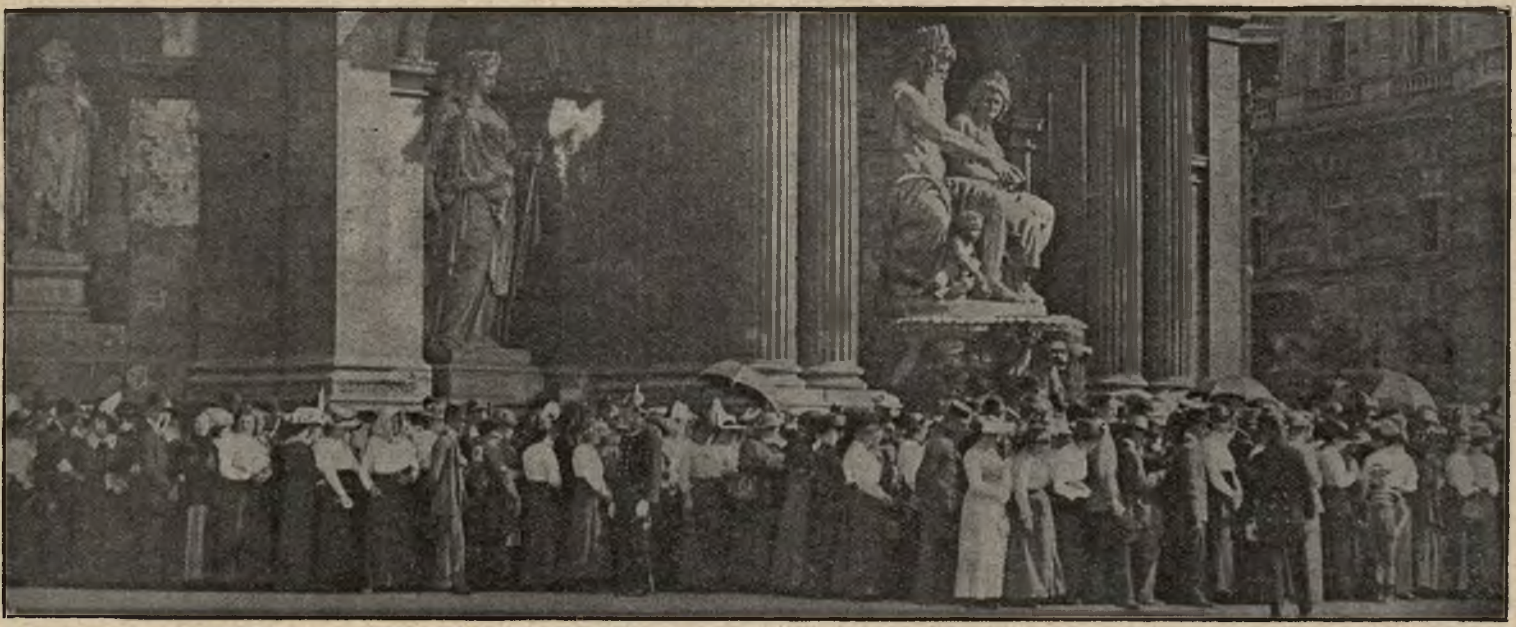
(Do illustracyi tytułowej).

Kraj nasz wydany jest na łup stałych klęsk elementarnych. Niszczą go naprzemiany to wylewy i powodzie, to znowu pożary. Te dwa wrogie żywioły jak gdyby sprzysięgły się, aby wspólnie ubożyć naszą ludność. Z powodu nieuregulowania rzek i łatwopalnej budowy wsi i miasteczek, woda lub ogień szerzą wciąż u nas ogromne spustoszenia.

Rok ubiegły był rokiem klęski powodziowej, która spowodowała olbrzymie straty zwłaszcza wśród ludności włościańskiej. Obecne lato staje się znowu okresem klęski pożarowej. Z powodu upałów i długiej posuchy płoną wsie i miasteczka, a pastwą płomieni padają nawet obszary leśne. Straszna ta klęska żywiołowa przybrałe ogromne rozmiary na Litwie i Rusi. Prawie jednocześnie w kilku miejscowościach stanęły w ogniu olbrzymie przestrzenie leśne. Zapaliły się lasy w okolicach m. Józefowa, należące do p. Szachny, dalej lasy hr. Zyberk-Platerów około stacyi Zagrad.

Pożary te, z powodu braku jakiejkolwiek pomocy, szerzą się z ogromną szybkością niszcząc nietylko obszary leśne, ale domy całe i wsie, leżące na drodze tej strasznej niszczącej fali ognia, która pochłonęła już lasy na olbrzymiej przestrzeni w powiatach: dźwińskim, luczyńskim, sebeskim, weliskim i horodeckim. Do gaszenia ognia zawezwano wojsko, które dniami i nocami pracuje nad powstrzymaniem tego groźnego żywiołu od dalszych spustoszeń.

Tę jedną z najwspanialszych, ale i najstraszniejszych klęsk elementarnych — pożar lasu przedstawia nasza tytułowa illustracya.



Przy zwłokach arcyksiążęcej pary: Tłumy Wiedeńczyków przed kaplicą zamkową.

Jubileusze na Wszechnicy Jagiellońskiej.

Prastara Wszechnica Jagiellońska obchodziła w tym czasie piękne uroczystości jubileuszu dwóch swych wybitnych profesorów. Dwaj jubilaci: dr. Leon Sterbach i dr. Przemysław Pieniążek, obaj są luminarzami nauki polskiej o sławie światowej, a wydatną swą pracą pedagogiczną i pisarską zanotowali się złotemi głoskami w historyi nauki.



Jubileusze na Wszechnicy Jagiellońskiej: Profesor dr. Przemysław Odrowąż-Pieniążek.

Dr. Leon Sternbach znakomity pracownik i europejskiej sławy uczony na niwie filologii klasycznej. Zbyt specyalna to dziedzina, aby prace z niej mogły zyskać szeroką popularność — ale z tą pracą prof. Sternbach łączy jeszcze działalność pedagogiczną, której właśnie obchodził 25-lecie. Przez tę działalność imię jego jest znane wśród szerokiej młodzieży i inteligencyi (trzech z jego uczniów jest już docentami Uniwersytetu Jagiellońskiego), podczas gdy prace naukowe jednają mu szacunek specyalistów. W obchodzie jego jubileuszu, który się odbył niedawno, wzięło udział całe ciało prof. Uniw. Jagiel., na którym prof. Sternbach pracuje i wykłada przeszło lat dwadzieścia.

Dodać należy, że jubilat ten jest chyba najmłodszym z jubilatów, liczy dopiero lat pięćdziesiąt. Pomimo to od lat dwunastu już jest członkiem Akademii Umiejętności, oraz Akademii w Pradze i Instytutu Archeologicznego w Wiedniu. Jubileusz jego był hołdem złożonym działalności uczonego, pedagoga i prawego obywatela.

Drugi jubilat prof. Pieniążek urodził się w Warszawie w roku 1850, nauki gimnazyalne i medyczne pobierał w Krakowie, a uzyskawszy w r. 1874 stopień doktorski, udał się do Wiednia na dalsze kształcenie się i tam wkrótce został asystentem słynnego laryngologa, prof. Störka. W r. 1879 został docentem laryngologii w Uniwersytecie Jagiellońskim, a w r. 1888 profesorem. Wytrwałym jego staraniom zawdzięcza Wszechnica krakowska utworzenie kliniki laryngologicznej. Z oddziałów skromnych tej kliniki wyszły prace ich kierownika, które nazwisko profesora Pieniążka uczyniły znanem w całym świecie.



Przy zwłokach arcyksiążęcej pary: Trumny w kaplicy zamku cesarskiego.

Polskie stroje narodowe na wystawę lyońską.

Współczesne czasy demokratyzacyi i szarej szablonowości życia oraz jego przejawów spowodowały także i u nas zniknięcie zupełne narodowych strojów, które wyparła „międzynarodowa“ marynarka i surdut, równające w swej brzydocie wszystkie kasty i narody. Nasze piękne, malownicze kostyumy przeszły do albumów i rekwizytów teatralnych, wdziewa się je rzadko w chwilach jubileuszów i t. p. Nie harmonizują one ze smakiem i figurą naszą, a głównie... kieszenią, stąd ich zanik, ku szkodzie estetyki. W górnych warstwach zniknęły dawno i do rzadkości już należą jednostki, któreby w naszym dawnym stroju nie wyglądały na karykaturę, współczesne ulstery, smocingi, sweatery etc. etc. pokrywają doskonale obecne skarłowacenia postaci człowieczej.

Smutniejszem jest jednak, że lud zaniechał swych szat, tak pięknych i fantazyjnych — wstydzi się świtki i sukmany ubierając się w tandetę „miejską" lichą i brzydką. A mieliśmy i mamy stroje ludowe, prawdziwie piękne i dostosowane do celów życia ludu i gdy nie mogą panować w kraju, lepiej gdy choć na eksport się pokażą. To miał na widoku lwowski oddział towarzystwa turystycznego urządzając w tych dniach wystawę etnograficzną naszych kostyumów ludowych, które zostaną wysłane na urządzaną w tym roku wystawę tkacką w Lionie. Dzięki temu stroje nasze, płótna i samodziały wystąpią na międzynarodowej wystawie w „stolicy jedwabiu" i przedstawią nas światu z dobrej strony t. j. doby ubiegłej naszej odrębności. Związek pomyślał i polecił wykonać pracowniom Ligi pomocy przemysłowej kilka grup etnograficznych, które zobrazują różnorodność pomysłów stosownie do okolic naszego kraju. Po krótkim występie we Lwowie eksponaty pojadą do Francyi.

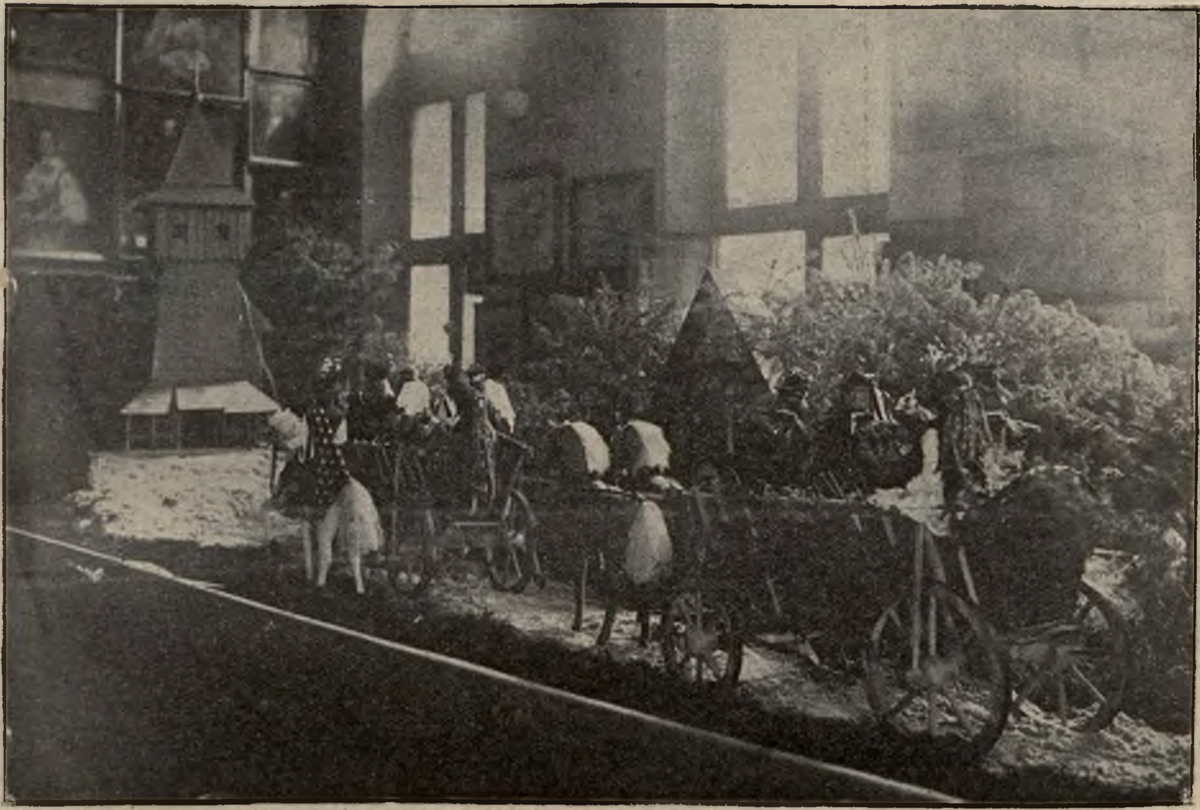
Włościanie w Akademii rolniczej.

(Do illustracyi na str. 10).

Praca nad „kulturą" kraju, jak brzmi oficyalna nazwa akcyi dla popierania u nas rolnictwa i wszelkich gałęzi produkcyi gospodarstw rolnych, czyni coraz lepsze postępy, doskonaląc się sama i coraz

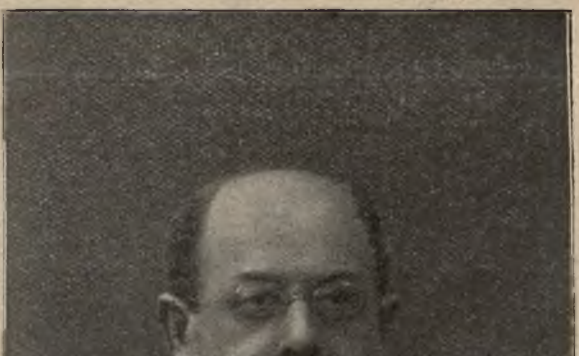


Polskie stroje narodowe na wystawę lyońską: Grupa górali przed chatą.



Polskie stroje narodowe na wystawę lyońską: „Krakowskie wesele".

bardziej przystosowując się do celów wytkniętych. Jednym z najlepszych środków popularyzacyi wiedzy rolniczej wśród posiadaczy średniej i drobnej własności są wycieczki do wzorowych gospodarstw i zakładów, gdzie przykładowo uczą się nowych kierunków uprawy ziemi i hodowli. Ostatnio przychodzi nam zanotować jedną z takich wycieczek, mianowicie z powiatu przemyskiego, w której wzięło udział 69 członków Kółek rolniczych kilkunastu gmin tego powiatu. Wycieczkę, pod kierunkiem p. K. Jakubowskiego oprowadzali po gospodarstwie i zakładach dublańskich rektor tej akademii p. Miczyński oraz grono tamtejszych profesorów. Włościanie, fachowo objaśniani, zwiedzili pracownie naukowe, halę maszyn, wzorowe stajnie, obory, a głównie pola doświadczalne, zapoznali się z wielu nowymi sposobami gospodarowania intenzywnego. Gości podejmowało serdecznie miejscowe Kółko rolnicze. W po-



Jubileusze na Wszechnicy Jagiellońskiej: Profesor dr. Leon Sternbach

wrotnej drodze wycieczka zatrzymała się we Lwowie, zwiedzając naszą stolicę.

Oby jak najwięcej takich wycieczek!



Kurs strażacki dla nauczycieli: Kierownicy i uczestnicy pierwszego kursu pożarnictwa dla abituryentów Seminaryum nauczycielskiego we Lwowie.

Kurs strażacki dla nauczycieli.

Praca nad podniesieniem obrony pożarnej w kraju zatacza coraz szersze kręgi. W ostatnich czasach między wielu innemi, przeprowadził Kraj. Związek Strażacki pierwszy kurs pożarnictwa dla abituryentów Seminaryum nauczycielskiego we Lwowie. Uczestnicy w liczbie 33 odbyli w obecności zgromadzonych gości i grona profesorów praktyczny popis połączony z egzaminem teoretycznym. Nauki udzielali instruktorzy Kraj. Związku, a dyrektor Związku p. Bo-



Oświata rolnicza w Królestwie Polskiem: Kierownicy i uczestnicy trzydniowych kursów dla małorolnych w Częstochowie. W pośrodku ks. biskup Zdzitowiecki.

lesław Wójcikiewicz, który powrócił z 8-mio tygodniowych studyów pożarnictwa za granicą, wyłożył nadprogramowo i bardzo interesująco uczestnikom historyę pożarnictwa od czasów przedchrystusowych aż do najnowszych urządzeń wielkomiejskich.

Laureaci konkursu śpiewackiego w Poznaniu.

(Do illustracyi na str. 10).

W ubiegłe dwa dni świąt odbył się w Poznaniu Zjazd towarzystw śpiewaczych Wielkopolski, na którym liczni jego uczestnicy stanęli do konkursu najlepszego odśpiewania pieśni. W konkursie tym pierwszą nagrodę zdobył zespół chóralny p. n. „Tow. Halka“ z Poznania, który według oceny sądu najlepiej odśpiewał pieśń konkursową p. t. „Oh, nie zapomnij mnie...“ Pieśń tę śpiewało kolejno 19 towarzystw, lecz palmę pierwszeństwa przyznano śpiewakom poznańskim.

Nasza illustracya przedstawia zwycięskich członków „Halki“ z prezesem ks. Kosiakiem (1) i dyrygentem p. M. Fibakiem w pośrodku.

Samopomoc wśród rękodzielników.

„Gromada to wielki człowiek“ — mówi przysłowie. — Na tej gromadzie opiera się też idea samo pomocy, która może poszczycić się już i u nas poważnymi rezultatami, a w swym bilansie wykazuje poważną liczbę stowarzyszeń, które w razie nieszczęścia niosą skuteczną pomoc członkom i ich rodzinom. Jedną z takich instytucyj jest istniejące już od 35 lat we Lwowie rękodzielnicze stowarzyszenie „Wspólność“, które niesie swym członkom pomoc przez wspieranie inwalidów, wdów i sierot po członkach Stowarzyszenia, udziela zapomóg w razie choroby i pokrywa koszta pogrzebu członków.

Ze skromnych stosunkowo funduszów Stowarzyszenie to rozrosło się na poważną instytucyę, której obrót roczny, przy niewielkiej stosunkowo ilości członków, wykazuje znaczną kwotę koron 51.188, a suma dotychczas wypłaconych wsparć inwalidowych, zapomóg i kosztów pogrzebowych przenosi koron 60.000.

W roku ubiegłym postanowiono ufundować sztandar dla Stowarzyszenia, któryby był widomym znakiem wspólności i łączności członków, polegających tylko na własnych siłach i odczuwających niedolę tych, którzy pomocy potrzebują.

Uroczystość poświęcenia tego sztandaru odbyła się w tych dniach w kościele O. O. Franciszkanów we Lwowie.

Illustracya nasza przedstawia właśnie grupę uczestników tej uroczystości z ks. biskupem Bandurskim w pośrodku.



Samopomoc wśród rękodzielników: Uroczystość poświęcenia sztandaru Stow. „Wspólność“ we Lwowie. (X) Ks. biskup Bandurski.

Artur Gruszecki.

Po ślubie.

7

— Także coś! Czy to funt mięsa?... No, jaki ten kapelusz?

— Jaki? Ani to od słońca, ani od deszczu, a pewno drogi?

— Jak sądzi Marcinowa?

— Ja nie dałabym i grosza, ale pewno kosztuje ze trzy korony, a może trochę więcej.

Romcia, zniechęcona, przekonała się, że Marcinowa pojęcia nie ma o modzie i cenach, a chcąc się jej pozbyć prędko, powiedziała z wyrozumiałością:

— Kapelusz kosztuje nieco drożej, zdzierają kupcy, ale co robić?

— Oj derusy z nich, niech ręka Boska broni... a dać pani kawy? Stoi już od szóstej.

— I owszem, przynieście, głodna jestem.

W niedzielę, ku zdziwieniu męża, wstała wcześnie i nie chcąc go rozbudzać, poszła do kuchni. Tam kazała sobie dać ciepłej wody do mycia.

— A może zanieść do pokoju? — spytała Marcinowa, niezadowolona.

— Nie! Tutaj umyję nogi.

— Nogi? — zdziwiła się Marcinowa, — cóż to, na ślub, czy na wesele wybiera się pani? — zaśmiała się.

— Takie głupie gadanie, — obruszyła się, — myję dla czystości.

Marcinowa pokręciła głową, ale umilkła i nalała w starą, zużytą miskę ciepłej wody.

Istotnie nogi Romci potrzebowały mycia, między palcami i przy kostce brud czerniał, a powyżej nogi były szare. Romcia z grubsza zmyła brud, a po wytarciu ręcznikiem, mniej więcej w połowie łydek powstała szara obrączka brudu, który ciągnął się w górę. Marcinowa, patrząc na tę robotę, uważała za stosowne powiedzieć:

— Mogłaby też pani umyć do kolan.

— Co Marcinowa wścibia nosa w nieswoje rzeczy, — rzekła niezadowolona, — teraz nie mam czasu, umyję kiedyindziej. Czy kawa gotowa?

— Ojej, od kiedy!?

— Niech Marcinowa podaje.

Mąż patrzał na wschodzącą. Była w brudnawym białym kaftaniku, popękanym przy haftiku i w halce krótkiej bardzo niepewnego koloru, obszarpanej u dołu; w pantoflach starych, któremi włóczyła. A właśnie rankiem, po zbudzeniu, rozmyślał o Natalci, Stasi i o jednej znajomej brunetce, ładnej, młodej, uśmiechniętej, która była zajęta w sąsiednim sklepie. Spojrzał na żonę krytycznie i zrobił uwagę:

— Mogłabyś przestać nosić tę halkę i te pantofle, masz przecież inne.

— Wystarczą i te koło domu. Czy mam się stroić dla ciebie?

— To, nie, — rzekł przezornie, ażeby nie zażądała pieniędzy, — ale szkoda te pantofliska!?

— Myłam nogi.

— Co?! Czy wybierasz się na ślub, czy na wesele? — zaśmiał się.

— Także koncept, — nachmurzyła się, — lubię czystość, zresztą idę do kościoła. Czy przynieść ci kawy do łóżka?

— Skądże ta łaska? — zaśmiał się, — i owszem, przynieś, a bułki nasmaruj masłem.

Po wypiciu kawy zaczęła się Romcia ubierać z wielką starannością, chciała bowiem nie tylko zewnątrz, ale i pod spodem dostroić całe ubranie do nowego kapelusza.

Mąż ogolił się, ubrał, zapalił cygaro i włóczył się z kąta w kąt, marudząc i spoglądając na zegar, który wskazywał piętnaście minut po dziesiątej.

— Wykośkasz się nareszcie? — stanął przed żoną, która w gorsecie i spodnicy przyszywała zatrzask do stanika, — od kiedy ja ubrany, a ty co najmniej godzinę przedtem zaczęłaś się stroić.

— Przeszkadzałeś mi... Kto ci przypinał kołnierzyk? Kto zapinał mankiety?

— Wielkie historye, — wzruszył ramionami, — kiedy będziesz gotowa? Chciałbym wyjść razem z tobą.

— I owszem... zaraz, — uśmiechnęła się przyjemnie, a swoją drogą postanowiła wyjść sama ze względu na kapelusz.

I tak marudziła, że mąż spiesząc się na drugie śniadanie, zostawił ją w domu.

Teraz dopiero, skończywszy szybko ze suknią, wyjęła z wielką ostrożnością kapelusz z pudła, włożyła na głowę i zaczęła przypatrywać się z wielką bacznością, z krytyką subtelną i z lubością tak kapeluszowi, jak i sobie.

Kapelusz miał dalekie powinowactwo z hełmem; w kolorze mieniącym się, seledynowo złocistym, zaś przy osadzie na głowie, bardzo małe, leciutko wygięte rondo było obszyte ponsową materyą i tworzyło na ciemnych włosach rodzaj ponsowego dyademu. Z boku jedna większa rozeta ze wstążek rozchodziła się w nikły wianeczek ponsowych pączków róży.

Nasyciwszy wzrok swój, gdy przeszła w myśli wrażenie Natalci i znajomych na widok takiego kapelusza, gdy nie bez żalu żegnała lustro, zauważyła niemal ze zgrozą, że, zapatrzywszy się na kapelusz, przeoczyła cerę twarzy, zbyt czerwoną, i piegi, z których dwa, jeden pod okiem, drugi przy nosie, rozrosły się w ciągu nocy i utworzyły coś w rodzaju liszajowatego grzybka. Złorzecząc wszystkim piegom i czerwonościom, bardzo wprawnie i zręcznie przy pomocy pudru i różu zmalowała plamy na twarzy.

Nareszcie wyszła z domu. Dzień majowy był ciepły, pogodny, z promiennem słońcem. Na lazurowem niebie przesuwały się lekkie, powiewne chmurki, a przy blasku słońca tem ostrzej i jaskrawiej odbijały brudy ulicy; szczerby w murowanych kamienicach, niby rany z wyblakłą krwią; chorobliwe, pokaleczone drzewka przy trotuarach; śmieci, nagromadzone przez wiatr, w zaułkach kamienicznych i tumany pyłu unoszące się w ulicach po każdym przejeździe dorożki lub automobilu.

Romcia ani spojrzała na otoczenie, spiesząc do kościoła, który tak był zapełniony, że mimo szczerych usiłowań zdołała się przecisnąć zaledwie do połowy głównej nawy.

Chciała się modlić z książeczki do nabożeństwa, którą otrzymała przy pierwszej spowiedzi. Już miała ją wyciągnąć z eleganckiej torebki, nabytej wczoraj, gdy rozejrzała się i spostrzegła, że panie obok stojące patrzą w książeczki, bardzo ładnie oprawione, z brzegami złoconymi. Wstyd jej się zrobiło dawnej, podniszczonej książeczki, i przeżegnawszy się, zaczęła odmawiać Zdrowaśki. Nie umiała jednak skupić swej myśli na modlitwie, gdyż w kościele, w przejściu, spotkała kilka pań znanych jej z widzenia, a w mieście prowincyonalnem mimo tytułu: „wielkiego“, wszyscy się znają i wiedzą o sobie. Zauważyła, że one zwróciły na nią uwagę i zaprzątała ją wątpliwość, czy one tak bacznie patrzyły na nią dlatego, że przyszła tak późno, czy też ze względu na kapelusz. Jeszcze nie rozstrzygnęła tej wątpliwości, gdy nasunęły się pytania nie mniej ważne: czy jest Natalcia? gdzie? czy z mężem? czy też z Niedzickim? czy spotka się z nią? co ona powie o kapeluszu? I znów stanął jej w myśli Bachmacki. Dziwna rzecz, że nie wyczekiwał na nią na ulicy... czy zrobił to rozmyślnie, czy też rozminęli się? Napastowana przez te myśli, ocknęła się z nich przy podniesieniu. Przez krótką chwilę trwała walka pomiędzy zwyczajem religijnym a obawą o kapelusz przy uklęknięciu, ale zwyciężył obowiązek, zwłaszcza, że dla ochrony kapelusza cofnęła się, podobnie jak inne panie, w tył, i w utworzonej próżni pochyliła głowę z kapeluszem.

Skończyło się nabożeństwo. Fala ludzi cisnęła się do bramy głównej i do drzwi bocznych kościoła. Zazwyczaj Romcia pozwalała się nieść fali, ale od czasu, gdy Niedzicki, wyrocznia dla niej i Natalci co do form towarzyskich, oświadczył, że tylko „hołota“ pcha się do wyjścia, tak ona, jak i Natalcia, nie chcąc należeć do „hołoty“, wstrzymywały się z wyjściem. I teraz czekała Romcia, aż się przerzedzi, a wychodząc przez główną bramę, spotkała tuż przy wyjściu Bachmackiego, który, rozpromieniony, podając rękę, zawołał:

— Co za miła niespodzianka! już zwątpiłem, bo i na ulicy napróżno wyczekiwałem zjawienia się najpiękniejszej kobiety w całem mieście.

To przywitanie mile podziałało na Romcię, spojrzała mu wdzięcznie w oczy i rzekła z odcieniem dumy:

— Nie chciałam pchać się z hołotą, tak cisną się, nie zważając, że to kościół, i czy to nie wszystko jedno, minuta wcześniej, czy później?

— Poznaję w tem dystynkcyę i delikatność duszy pani. Wychodziła pani z kościoła, jak dumna donna z pałacu dożów.

Ponieważ Romcia nie rozumiała porównania, podobało się jej ono nadzwyczajnie i powtórzyła w myśli ostanie słowa, ale ze względu na dobre wychowanie powiedziała spuszczając oczy:

— Pan mnie psuje pochlebstwami, — a wiedziała dobrze, że takie słowa wywołują zawsze zaprzeczenie, którego miło jest posłuchać.

— Nigdy nie bawię się w pochlebstwa, — oświadczył z miną surowego moralisty idąc z Romcią w kierunku Linii A-B, — zawsze mówię prawdę i nie śmiałbym kalać kłamstwem czystej duszy pani.

— I ja uwielbiam prawdę, — powiedziała Romcia obojętnie.

— Wiem o tem, — mówił tonem rozkochanym Bachmacki, — takie dusze, jak pani, nie znoszą fałszu i kłamstwa.

Romcię te wzmianki o duszy zaczęły już niecierpliwić i z pewną pretensyą spojrzała na niego, rozumiejąc, że przecież są tematy do ciekawszej rozmowy, aniżeli o duszy, i spytała:

— Nie widział pan, pani Szabelskiej?

— Tak jest. Czekał na nią Niedzicki i poszli w tę stronę.

Romcia okiem policyjnem przepatrywała publiczność snującą się po Linii, ale tłum był tak zwarty, że nie mogła dostrzedz swej przyjaciółki i zwróciła się do towarzysza:

— Nie widzi pan ich?

— Na razie nie!... tylko jest pani Orszycka z Marskim.

— Gdzie? Gdzie? — ożywiła się, — znam ją dobrze, ale ciekawa jestem jego.

— Idą naprzeciw nas... rozdziela nas tłum.

— A pan go zna?

— Dosyć dobrze... może za dobrze, — uśmiechnął się zagadkowo.

— Pan mi go wskaże... zresztą poznam go po Stasi.

Za chwilkę spotkali się, a Stasia, oglądając Romcię od stóp do głowy, zawołała przyjaźnie:

— A, pani Romcia!... tak dawno pragnęłam widzieć panią. Wczoraj dużo rozmawialiśmy o pani, i pani Natalcia zapewniła nas, że dzisiaj spotkamy się.

— Pewno obgadywano mnie, jak zwykle, — uśmiechnęła się patrząc ciekawie na Marskiego.

— O pani można tylko dobrze mówić, — skłonił się Marski i przedstawiwszy się: — byłem naocznym, a raczej nausznym świadkiem, — uśmiechnął się zadowolony z konceptu taniego.

— A i pan był? — zdziwiła się Romcia, oglądając go uważnie.

— Nietylko pan, — wmieszała się do rozmowy Stasia, — ale i pani Natalcia, i pan Niedzicki, brakowało tylko pani i pana, — spojrzała na Bachmackiego zalotnie.

— Znaleźliśmy się dzisiaj, — uśmiechnął się Bachmacki; — kto się szuka, ten się znajdzie.

— Ja pana nie szukałam! — zaśmiała się Stasia.

— A ja zawsze szukam pięknych kobiet, — ukłonił się.

— Możebyście państwo romansowali gdzieindziej, — śmiał się Marski, — tu nas potrącają i ciasno... chodźmy razem, będzie wygodniej.

Stasia już od dłuższego czasu z wielkiem zajęciem obserwowała kapelusz i suknię Romci, a chcąc mieć w niej życzliwą, bo czuła, że sympatyi Natalci nie posiada, powiedziała tonem zachwytu:

— Jakiż kapelusik pani śliczny! To najnowszy fason. I jak gustownie ubrany!

Romcia poczerwieniała z radości; nareszcie znalazła się osoba, która poznała się na wartości jej kapelusza, i to nie byle kto, ale Orszycka, znająca się na strojach. Uczuła też dla Stasi dużo przyjaźni i powiedziała z radosnym uśmiechem:

— Umyślnie zwlekałam z kupnem nowego kapelusza, ażeby ustaliła się moda, bo przecież nie stać mnie na to, ażebym w jednym sezonie kupowała po kilka kapeluszy.

Dopiero po słowach Stasi zwrócili mężczyźni uwagę na kapelusz Romci i zaczęli gorąco chwalić. Romci zdawało się, że urosła, że wszyscy na Linii patrzą tylko na jej kapelusz.

Stasia spodziewała się, że po komplemencie z jej strony, Romcia będzie na tyle dobrze wychowana, i pochwali jej kapelusz i suknie, a zawiodłszy się, rzekła z zimną grzecznością:

— Tak... pani ma słuszność... moda się zmienia.

Romcia natychmiast zrozumiała swój błąd i pospieszyła go naprawić:

— Ja muszę wyczekiwać, a pani wybrała natychmiast, kupiła najgustowniejszy kapelusz... ależ ślicznie układa się suknia pani! U kogo pani robi?

— Mam krawcową doskonałą i tanią, trzeba ją tylko przypilnować, — mówiła Stasia zupełnie rozbrojona, — dam pani adres.

— Otóż i pani Natalcia! — zawołał Marski, składając równocześnie nizki ukłon.

Natalcia z Niedzickim zbliżała się do nich z przeciwnej strony. W pierwszej chwili, gdy ich spostrzegła, szepnęła:

— Jest i Bachmacki... a jaki do niej nachylony...

— Lgnie jak magnes do żelaza, — uśmiechnął się Niedzicki, — albo żelazo do magnesu, bo nie wiadomo, które z nich jest magnesem, a które żelazem.

Natalcia nie słuchała tego dowcipu, cała pochłonięta widokiem nowego kapelusza. Podobał się jej, ale zarazem obudził zazdrość, gdy właśnie padły na niego promienie południowego słońca i kapelusz zabłysnął czystem złotem, a ponsowe rondo obejmowało dyademem kształtną fryzurę Romci. Zmarszczyła brwi niezadowolona, bo skąd i dlaczego ta tajemnica Romci przed nią, przed najlepszą jej przyjaciółką? Dlaczego nie wezwała jej do narady przy tak ważnem kupnie? Dlaczego nie zwierzyła się jej przynajmniej z zamiarem kupna? A ona tak jej żałowała! Tak z nią współczuła! Taka była oburzona na skąpstwo jej męża!

Nagle twarz Natalci rozjaśniła się, już odgadła historyę nabycia nowego kapelusza. Gdyby to mąż dał pieniądze, byłby, jak każdy mąż, zwlekał, marudził, narzekał przez kilka dni i Romcia miałaby dosyć czasu zwierzyć się przyjaciółce, i napewno wezwałaby ją na kupno, ażeby w danym razie mieć świadka wobec zarzutów męża, albo też zwalić drogość kapelusza na złe rady. Jeśli jednak Romcia, rozumowała Natalcia dalej, tak nagle, w ciągu jednego dnia kupiła tak drogi kapelusz, bo pewno kosztuje ze czterdzieści koron; jeśli kupiła nową torebkę i nowy kołnierz koronkowy, to napewno nie za pieniądze męża, ale dał ktoś inny; a ponieważ nie wygrała na loteryi, matka za uboga, ażeby dawała na takie zbytki, więc dostała od Bachmackiego. W uzupełnieniu swego rozumowania spytała Niedzickiego nagle:

— Czy Bachmacki bogaty?

— O ile wiem, to nie; ale zarabia dosyć i przytem gra szczęśliwie. A pani dlaczego się pyta?

— Tak sobie, mnie na nim przecież nic nie zależy.

— Wiem... to dla informacyi przyjaciółki, — uśmiechnął się ironicznie.

Nie było czasu na odpowiedź, bo już Natalcia z wielkiem wylaniem uczucia witała Romcię, która jej odwdzięczyła się tem samem. Również z przyjaźnią przywitały się obie panie, Natalcia i Stasia.

Całe towarzystwo połączywszy się, spacerowało po Linii rozmawiając głośno i swobodnie. Wśród zwartego tłumu bardzo mało było starszych panów, mężów; przeważały panie i asystująca im młodzież. To też trzy mężatki w otoczeniu trzech młodych mężczyzn nikogo nie raziły.

Już dochodzono do połowy Linii, i Romcia napróżno czekała wzmianki Natalci o swym kapeluszu. Z oburzenia na przyjaciółkę dostała lekkich wypieków na twarzy, wreszcie rzekła do Natalci:

— Mimo gorąca nie boli mnie głowa.

— Przewiewa wiatr i chłodzi, — odpowiedziała z ujmującym uśmiechem, nie rzuciwszy okiem na kapelusz.

Tego było za wiele Romci i wyjaśniła tonem łagodnym:

— Zasługa w tem nie tylko wiatru, którego zresztą niema.

— Nic dziwnego, Romciu, przyszłaś tu w tak miłem towarzystwie, że zapomniałaś o bolu głowy.

— W każdym razie nie w tak miłem, jak twoje, nieprawdaż, panie Niedzicki?

Zanim Niedzicki zdołał odpowiedzieć, zawołał Bachmacki:

— Kapelusz pani Romci zwraca ogólną uwagę, taki nabytek warto oblać, proponuję cukiernię!

— Ach, prawda! — pospieszyła Natalcia, — zapomniałam ci powinszować... bardzo ładny, tylko na twój wzrost za wysoki...

— Ale co znów, — zaprotestowała Romcia.

— Tak mi się zdaje... no, i ten lampas czerwony zmień koniecznie, on jest zbyt ostry... rzuca się w oczy.

— A ja radzę zatrzymać, jest bardzo ładny i ślicznie odbija, — odezwała się Stasia.

— To zdanie pani, podyktowane tem, że i u pani czerwieni się, — uśmiechnęła się Natalcia, — ja lubię barwy dyskretne, nienarzucające się.

Zaczął się spór o barwy, w którym i panowie brali udział, wtem nagle zawołał lekko zmieszany Marski:

— Moja żona!... Cud się stał, że wyszła. Muszę oddać się familii, za kwadrans będę w Teatralnej. Lolku, — zwrócił się do Niedzickiego, — na ciebie liczę, że będą i panie, — skłonił się i szybko podszedł do skromnie ubranej blondynki, prowadzącej chłopaczka za rękę.

Wszyscy z wielką ciekawością przypatrywali się przywitaniu małżonków i nie spuszczali oczu z Marskiej.



— Mogłaby też pani umyć do kolan.

Twarz jej mimo bladości i zmęczenia była więcej niż ładna, z przyjemnem i łagodnem spojrzeniem wielkich, piwnych oczu. Na widok zbliżającego się męża rozjaśniła się i skwapliwie wyciągnęła rękę na powitanie. Z całego jej zachowania widać było, że jest zakochana w swym mężu, który wprawdzie bardzo uprzejmie, nawet serdecznie przywitał ją i dziecko, ale czuć w nim było władcę i pana.

Przechodząc obok towarzystwa, które przed chwilą opuścił, ukłonił się z elegancyą kupiecką, skinął głową porozumiewawczo Niedzickiemu i poszedł dalej.

— Wcale ładna kobieta, — powiedział Bachmacki i odwrócił się za nią, — to dziwne, że jej nie pokazuje i z nią nie chodzi.

— No, znów tak ładna, to nie! Chuda, blada, i brak jej temperamentu, — rzekł Niedzicki.

— Nic dziwnego, — odezwała się Natalcia, — martwi się biedna. On ją zaniedbuje, a sam ugania za innemi, — spojrzała na Stasię.

— O ile wiem, — powiedziała Stasia po chwili, — oni żyją ze sobą bardzo dobrze i on ją kocha, mimo, że jest chorowita. On bardzo dba o dom.

— Ale więcej o siebie, — zaśmiała się Natalcia, — i po chorej żonie szuka pociechy.

— Niema o czem mówić, — rzekł Bachmacki, — jeśli im obojgu z tem dobrze, co nam właściwie do tego.

— Jakże dobrze pan powiedział! — tryumfowała Stasia, — właśnie to samo miałam na ustach.

— Tylko, że nie wyszło, — zadrwiła Natalcia.

— Przez delikatność, — odrzuciła Stasia.

— Idziemy do cukierni! — zawołał głośno Niedzicki, — dość tej rewii kapeluszów i strojów.

Całe towarzystwo zasiadło przy większym stoliku. Bachmacki namówił panie na kieliszek madery, paszteciki i ciastka. Rozmawiano o nowinach i plotkach miejskich bez zainteresowania, byle czas czemś zapełnić. Dopiero wejście Marskiego ożywiło trochę towarzystwo, a przyczyniła się do tego i butelka wermutu, postawiona przez Bachmackiego. W czasie rozmowy rzekła Natalcia ze współczuciem:

— Pani Marska wygląda trochę mizernie, co jej brakuje?

— Wszystko i nic. Doktor mówi o anemii, nerwach, — odpowiedział Marski, — a ja myślę, że cała choroba z uporu.

— Już pan obmawia kobiety, — upomniała go Stasia.

— Nie, tylko naprawdę żona się zapracowuje. Sama obszywa dziecko, siebie, i mimo mych próśb ma tylko służącą dochodzącą. Sama gotuje i stąd osłabienie, rozdrażnione nerwy, więc czy to nie przez upór?

— I nie może pan żony uprosić? — spytała Romcia.

— Nie.

— Cóż pan myśli zrobić? — zaciekawiła się Natalcia.

— Doktor radzi świeże powietrze, wyślę ją, może to wpłynie na nią korzystnie.

— Napewno, — odezwał się Niedzicki, — wogóle pobyt w mieście dusznem i ciasnem oddziaływa bardzo szkodliwie. Ręczę, że większość pań miałaby zdrowe i silne nerwy, gdyby czasy gorące przepędzała na wsi. Czy pani, — zwrócił się do Natalci, — czuje się dobrze po rocznym pobycie w mieście? Ja bardzo wątpię, bo przecież te ciągłe kłopoty z gospodarstwem, ze sługami, z dzieckiem, muszą wyczerpywać zdrowie i nerwy.

— Ach, nie mówmy o tem, — westchnęła Natalcia, — ja nie lubię się skarżyć, ale czasem bywam tak osłabiona, że nic mnie nie cieszy, ani stroje, ani zabawy, ani teatr.

— Coś podobnego i ja odczuwam, — powiedziała smutnym głosem Romcia, — obojętnieję na wszystko i czuję dziwny ucisk w głowie, w sercu... nie chce mi się podnieść z łóżka. I gdyby nie obowiązek, leżałabym cały dzień.

— To wyczerpanie nerwów, — zdecydował Bachmacki, — odpoczynek jest konieczny.

— A ja miewam takie zawroty... mdłości... już dwa razy mąż wzywał do mnie doktora... Zapisał mi jakieś proszki, kazał pić jakąś wodę, ale to nic nie pomaga, — skarżyła się Stasia.

— Ach, ci doktorzy, — zaśmiał się ironicznie Marski, — oni jedno tylko wiedzą, ażeby brać pieniądze za swą poradę, ale czy to pomoże, albo zaszkodzi, o to ani dbają, ani pytają. U pani Stasi jest po prostu przemęczenie, u pani Natalci to samo, u mojej żony przepracowanie, i naco? poco pytać doktorów? Należy wyjechać, zmienić otoczenie, odpocząć, a wszystko będzie dobrze. Ja stanowczo wysyłam żonę.

— A dokąd? — spytała Natalcia.

— Jeszcze dobrze nie wiem... może do Zakopanego... może do Krynicy, a może do Żegiestowa.

— Wyjazd dla pani jest konieczny, — rzekł stanowczym głosem Niedzicki, patrząc na Natalcię.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kwiatek kultury pruskiej.

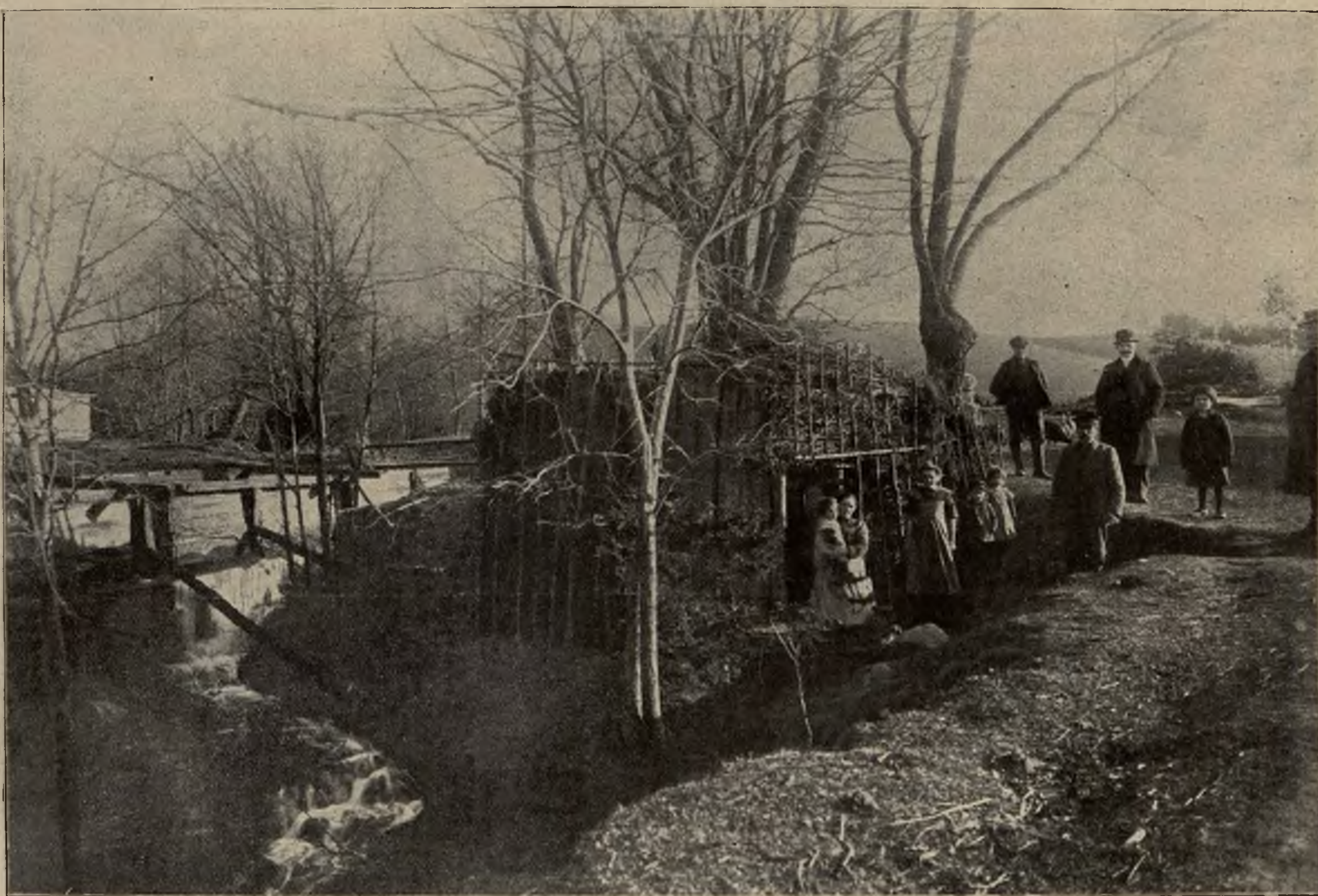
Rząd pruski ukuł przeciwko Polakom szereg ustaw wyjątkowych, ażeby przez ich zastosowanie podciąć społeczeństwu polskiemu byt materyalny. „Błogosławieństwo“ kultury pruskiej dotknęło szczególnie naszych włościan wskutek zastosowania ustawy osadniczej, zabraniającej, jak wiadomo, pobudowania ogniska na własnym zagonie. Dowodem tego następujący wymowny fakt.

W powiecie grodnickim w Prusach Zachodnich leży miejscowość Długi Most, należąca niegdyś do barona Gołtza. Właściwy majątek leży po jednej, a 120 morgowa posiadłość z młynem po drugiej stronie strumyka. Zabudowania gospodarcze składają się ze stajni i stodoły, domu mieszkalnego niema, ponieważ policya pruska nie pozwoliła na założenie ogniska.

Posiadaczem gruntu i młyna jest włościanin Sternicki, który daremnie kołata o pozwolenie policyjne na budowę domu mieszkalnego. Mieszkanie jego, izba w odległem domostwie sąsiedniej posiadłości, którą mu odstąpiono z humanitarnych pobudek, okazała się za małą, albowiem rodzina jego liczy 16 głów. Nie pozwolono mu nawet na urządzenie w chlewie pralni, ponieważ obawiano się, iż możnaby w niej gotować strawę i — myć dzieci.

Jakżeż więc pomaga sobie Sternicki? Oto w norze w spadzistym brzegu strumyka utworzył sobie z chróstu, obłożonego darnią, mieszkanie jaskiniowe, w którem mieszka z żoną i 14 dzieci.

Illustracya nasza przedstawia ten kwiatek kultury pruskiej: mieszkanie jaskiniowe Sternickiego.



Kwiatek kultury pruskiej: Mieszkanie „jaskiniowe“ włościanina polskiego Sternickiego w Długim Moście.

Sanem do Królestwa.

Turystyka rozwija się u nas coraz pomyślniej i to nie tylko wśród sportsmanów, lecz, co ważniejsza, wśród szerszych warstw, a głównie młodzieży szkolnej. Tutaj zamiłowanie do zwiedzania nowych stron, przeważnie Polski, budzą racyonalnie i pożytecznie nauczyciele, a młodzież, rozumiejąc ich szlachetne tendencye, pielgrzymuje na różne sposoby po naszych ziemiach. Z wielką też radością notujemy wszelkie wiadomości o interesujących i pomysłowych wycieczkach, jakie w czasie bieżącego okresu wakacyjnego nasza młodzież urządza. Do takich należy urządzona w pierwszych dniach b. m. wycieczka uczniów gimnazyum przemyskiego, pod kierownictwem prof. Błażka, na specyalnie zbudowanej tratwie-łodzi Sanem do Wisły i nią aż do Królestwa. W wycieczce wzięło udział kikunastu uczniów, którzy sami obmyślili i zbudowali swój statek, zaopatrując go we wszystko, co potrzebne w podróży. Oryginalna ta wycieczka królową naszych rzek poprzez nasz kraj dostarczy uczestnikom wiele pożytku i rozrywki.

Nowy kościół we Lwowie.

Lwowscy OO. Jezuici, energiczni i zapobiegliwi duszpasterze współczesnego Lwowa, czyniąc zadość



Sanem do Królestwa: Odjazd wycieczki studenckiej z Przemyśla Sanem i Wisłą do Królestwa Polskiego. (Fot. M. Todt, Przemyśl).



Nowy kościół we Lwowie: Ks. arcybiskup Bilczewski poświęca kamień węgielny. (Fot. M Münz, Lwów).

morgach, a kiedy ta próba, połączona wprost z nadludzkim wysiłkiem, dała dobre rezultaty, zakłady szkółkowe w Podzamczu zaczęto w miarę wzrostu zapotrzebowań rozszerzać i obecnie obejmują one obszar z górą osiem włók. Tak wielkich szkółek niema w całej Europie, a rośliny z Podzamcza rozchodzą się wszędzie, nawet docierają do Persyi, Turkiestanu i t. p.

W pouczającej tej wycieczce, która oprócz celów zapoznania się przyszłych członków „Związku leśnego", jaki niebawem ma skupiać licznych leśników Królestwa, wzięło udział około setki osób z pośród zawodowców i obywateli, uprawiających gospodarkę leśną w swych dobrach. Goście, podejmowani przez p. Różyckiego, a objaśniani przez inicyatora wycieczki p. Gustawa Buseck-Buseckiego, redaktora „Gazety leśnej i myśliwskiej", zwiedzali wzorowe gospodarstwo leśne, prowadzone na 300 morgach, wywożąc z wycieczki jak najmilsze wrażenie i szereg cennych wiadomości fachowych.

Nowi ojcowie miasta Krakowa.

Wybrani w dniach 14 — 20 maja nowi członkowie krakowskiej Rady miejskiej w tych dniach dopiero po raz pierwszy zasiedli na swych fotelach radzieckich. Wedle ostatecznego zestawienia, do Rady weszło po obecnych wyborach 48 nowo-wybranych radców. Powtórnie wybranych zostało 32, a po raz pierwszy wchodzi do Rady miejskiej 16 radców.

Dawny komplet ojców naszego miasta, liczący obecnie 87 radców, wskutek ostatnich wyborów zmienił się; ustąpiło 18 członków, a w ich miejsce weszli nowi, kilku wybitnych mężów nauki i zasług



Wycieczka leśników: Uczestnicy wycieczki w Podzamczu.

potrzebie duchowej mieszkańców nowej dzielnicy, postanowili zbudować kościółek obok swego domu rekolekcyjnego przy ul. Dunin-Borkowskich. W ubiegłą niedzielę odbyła się uroczystość założenia i poświęcenia kamienia węgielnego pod ten nowy Dom Boży, powstający ze składek groszowych wiernych tej dzielnicy. Ceremonia założenia kamienia odbyła się niezwykle uroczyście, aktu zaś poświęcenia dokonał arcybiskup dr. Józef Bilczewski w asystencyi licznych gości.

Nasza illustracya przedstawia dwa momenty z tej uroczystości.

Wycieczka leśników.

Leśnicy Królestwa, stojący dotychczas jeszcze luzem, lecz mający już skrystalizowany zamiar utworzenia korporacyi zawodowej, jako pierwszy krok w kierunku zrzeszenia urządzili w tych dniach zbiorową wycieczkę do wzorowych lasów hr. Andrzeja Zamoyskiego w Podzamczu. Gospodarstwo leśne w dobrach hr. Andrzeja Zamoyskiego, a szczególniej „Szkółki leśne" w Podzamczu słyną już dzisiaj nie tylko w kraju, ale daleko poza jego granicami. Zaczątek ich sięga roku 1889, kiedy to ówczesny nadleśny, a obecnie pełnomocnik tych dóbr, p. Feliks Różyński, powziął śmiałą myśl zużytkowania piasków i wydm, nieprzynoszących żadnych absolutnie korzyści, pod hodowlę drzew wszelkiego rodzaju, nie wyłączając najozdobniejszych drzew parkowych, a nawet roślin egzotycznych. Zrobiono próbę na kilku



Nowy kościół we Lwowie: Msza św. na placu budowy (Fot. M. Waydowicz, Lwów).

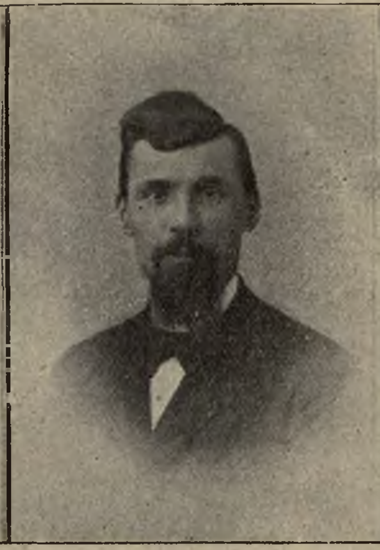
Nowi ojcowie miasta Krakowa.



Dr. Wacław Damski.



Radca Tadeusz Epstein.



Radca Tomasz Gramatyka.



Radca Ludwik Halski.



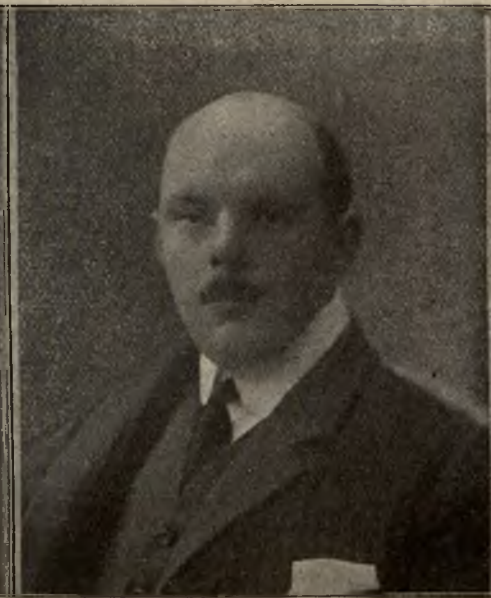
Rektor dr. Kazimierz Kostanecki.



Dr. Ignacy Lauer.



Radca Józef Mitasiński.



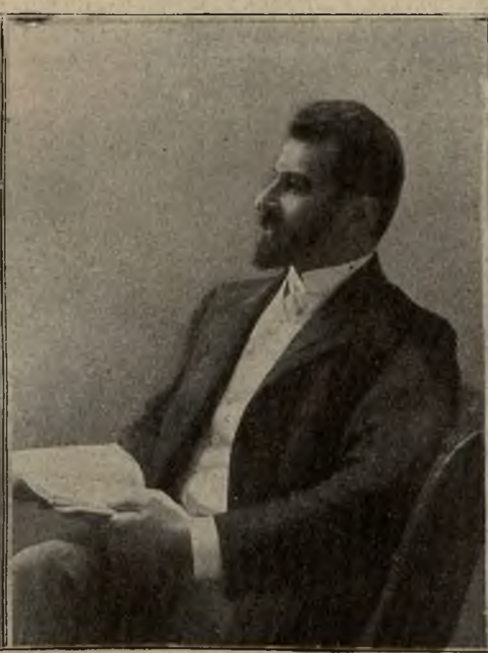
Dr. K. M. Morawski.



Dr. Józef Muczkowski.



Radca Witold Ostrowski.



Radca Wacław Potuczek.



Red. Konstanty Srokowski.



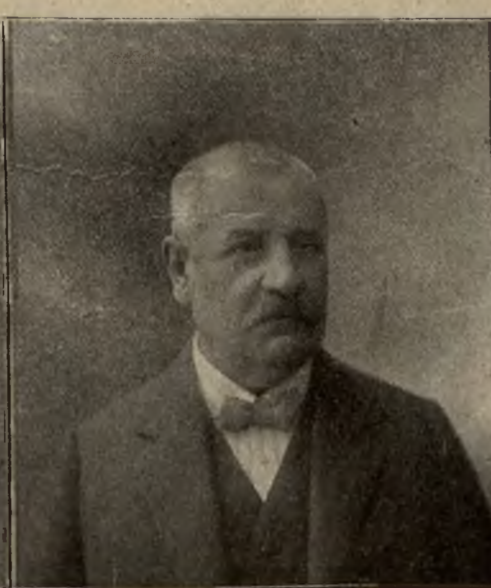
Radca S. Schechter.



Radca Zygmunt Schrager.



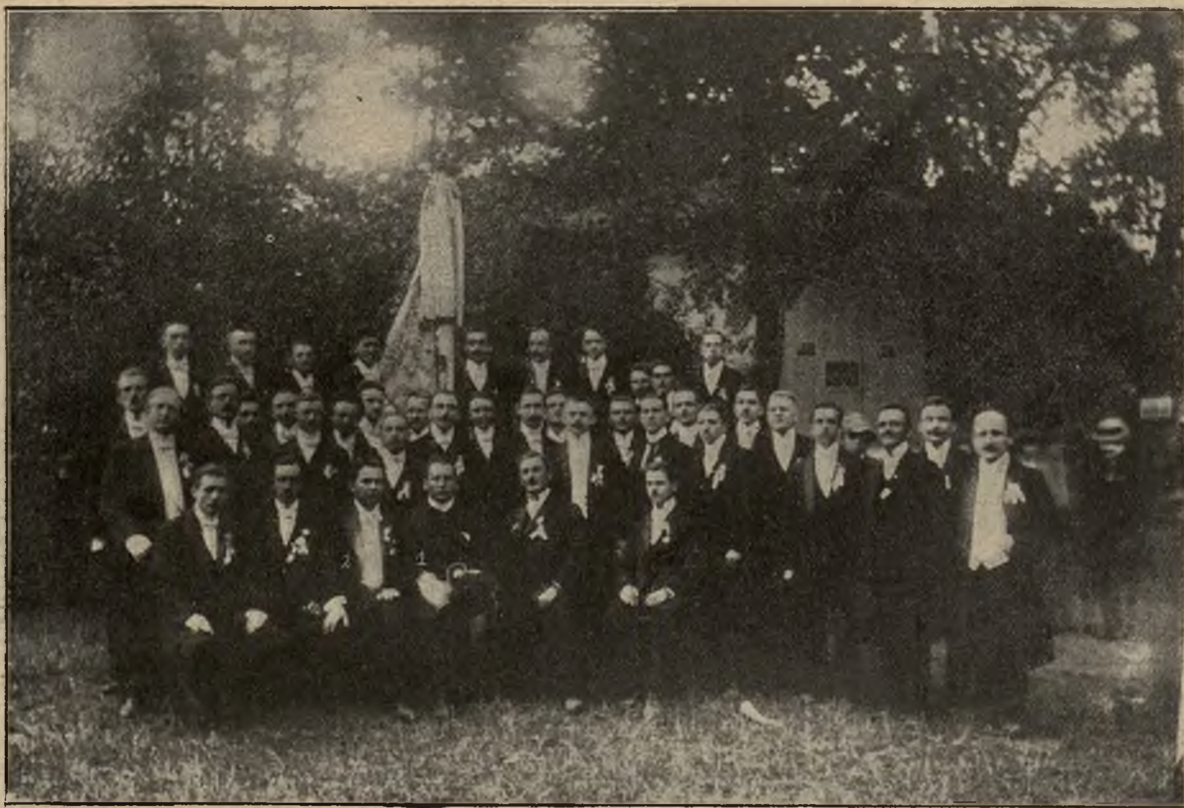
Radca Zygmunt Siemek.



Radca Szczepan Rakisz.



Rektor dr. Fryderyk Zoll.



Laureaci konkursu śpiewackiego w Poznaniu: Poznańskie stowarzyszenie śpiewacze „Halka". 1) Prezes ks. Kosiak. 2) Dyrygent M. Fibak.

społecznych. Nowa rada miasta wnosi ze sobą nowe nadzieje, nowe prądy, które wskaże czas najbliższy. Obecnie podnieść można tylko moment inauguracyi nowych radców w ich pierwszem wystąpieniu. Z tej racyi padajemy fotografie wszystkich najświeższych ojców miasta, którymi są pp : dr. W. Damski, T. Epstein, T. Gramatyka, L. Halski, rektor uniw. Jagiell. dr. K. Kostanecki, dr. I. Lauer, J. Mitasiński, dr. K. M. Morawski, W. Ostrowski, dr. J. Muczkowski, W. Potuczek, S. Rakisz, S. Schechter, Z. Schrager, Z. Siemek, redaktor K. Srokowski i prof. F. Zoll (jun.)

Wybitny Amerykanin w Galicyi.

O emigracyi licznych naszych współobywateli do Ameryki czytamy i słyszymy wiele, zarówno w dziennikach, jak w obradach korporacyi i ciał ustawodawczych. Ustalono cyfry wychodźców, oszacowano kwoty przez nich przywiezione, jednem słowem społeczeństwo nasze interesuje się żywo kwestyą wychodźtwa do Stanów Zjednoczonych.

Na uwagę zasługuje jednak fakt imigracyi do naszego kraju obywatela amerykańskiego o znanem w Stan. Zjedn. nazwisku, znacznych środkach i wielkim wpływie. Mamy na myśli Louisa N. Hammerlinga, obecnego właściciela pięknego majątku Brody koło Kalwaryi. Nowy dziedzic Brodów zaznaczył się w swej siedzibie i okolicy jako ze wszechmiar dodatnia jednostka, jako znakomity gospodarz i prawdziwy opiekun dziatwy i ubogich. Wspaniały pałac Brandysów został odrestaurowany i nowocześnie urządzony, uroczy park znajduje się w wzorowym porządku, a budynki gospodarcze wyglądem i urządzeniami przypominają najlepsze przykłady zagranicy.

P. Hammerling włada językiem polskim i pracuje usilnie nad zainteresowaniem swych ziomków bogactwami przyrody naszego kraju. Pałac w Brodach jest miejscem spotkania sąsiadów z okolic dalszych i bliższych, a szczodry gospodarz nie odmawia pomocy nikomu proszącemu o zasiłek na godziwy cel. Dziatwa szkolna cieszy się specyalną opieką p. Hammerlinga, którego ludność Brodów i Kalwaryi zna z najlepsych stron.

Byłoby istotnie do życzenia, aby takich przykładów powrotu kapitałów amerykańskich do kraju naszego namnożyło się więcej. W danym wypadku jest rzeczą doniosłą, że p. Hammerling zajmuje w życiu politycznem i społecznem Ameryki ważną pozycyę, gdyż jest prezydentem Związku wydawnictw obcojęzycznych i sam wydaje znane czasopismo „Leader". Scisłe stosunki łączą p. Hammerlinga z najwybitniejszymi działaczami Nowego Jorku, którzy podobno obmyślili dla niego jedno z pierwszych stanowisk w zarządzie stanu nowojorskiego.



Wybitny Amerykanin w Galicyi: Louis N. Hammerling.



Włościanie w Akademii rolniczej: Wycieczka włościan z powiatu Przemyskiego, która zwiedziła Akademię rolniczą w Dublanach.

PIOTR SALES

TAJEMNICA FAKIRA

Druga część „Lekarza Cudotwórcy"

Tłumaczyła MARYA SEGENY.

33

Leonia Hardy jednak zdołała się na chwilę wyrwać ze szponów drapieżnych zwierzątek. I wiedziona instyktem samozachowawczym, lub też powodowana egoizmem, wyskoczyła, krzycząc przeraźliwie, z laboratoryum, pędząc nieprzytomnie przed siebie.

W jednej chwili zabłysły światła w oknach pałacu, lecz nikt nie wybiegł na ratunek nieszczęsnej, gdyż równocześnie przeszył powietrze straszny, złowrogi ryk, tak dobrze znany przez wszystkich Hindusów! Ryk ten pobudził uśpionych mieszkańców.

— Baber Said! (książę Tygrys!) — wyszedł szept z kilkudziesięciu piersi.

Książę, który stał w oknie, mając przy boku Piotra Moreau i lorda Cateley i na chwilę nie spuścił swojego punktu obserwacyjnego, wyrzekł z dziwną mieszaniną lęku i zadowolenia:

— A więc los okazuje się surowszym odemnie! Bo ja prawie, że przebaczyłem, gdy tymczasem... Ale gdzież wy się udajecie moi panowie?

Ale lord Cateley i Piotr Moreau nie dosłyszeli tego zapytania.

— Nie jesteście przecież uzbrojeni! Nie wiecie chyba na jakie niebezpieczeństwo się narażacie!

W kilka sekund później lord Cateley i Piotr Moreau, znajdowali się już na dole... pochwycili jeden i drugi strzelby straży księcia... i wybiegli do parku, kierując się w stronę, skąd dochodziły ostatnie jęki księżnej Sahadża.

— Oni są szaleni! — mówili Hindusi, zebrani na stopniach pałacu. Oni są szaleni! Sam Wisznu ich już teraz nie obroni.

A taka trwoga wstrząsała wszystkimi, że żaden z nich nie odważył się podążyć z pomocą!

Upłynęła minuta... może dwie... w naprężonem oczekiwaniu, poczem nagle wśród nocy rozległ się huk dwóch strzałów.

Ratunek przybył jednak za późno!

Gdy książę Kiwani, któremu towarzyszył Matjasi i straż, udał się na miejsce, chcąc dać ludziom swoim przykład odwagi i energii, zastał lorda Cateley i Piotra Moreau, klęczących na ziemi z odkrytemi głowami. Przed nimi leżały krwawe, okropnie zmasakrowane zwłoki nieszczęśliwej Leony Hardy, a obok dogorywał śmiertelnie ugodzony tygrys.

— Nieszczęśliwa! — zawołał książę, zdziwiony, że znalazł jeszcze w sercu swojem łzę na opłakanie zdradliwej małżonki.

Poczem obejrzał się wokoło.

— A Gewolski? Gdzież on jest? Czyżby ten nędznik podle ją opuścił w takiej chwili!?

W tej chwili od strony pałacu rozległy się rozpaczliwe okrzyki Stanisława:

— Mój ojciec! Mój ojciec! Gdzie jest mój ojciec? Nie znalazłem go w swojem mieszkaniu, a przecież słyszałem jeszcze przed chwilą głos jego!

Stanisław potrafił przedrzeć się przez straż wzbraniającą mu wyjścia i oszalały z niepokoju biegł do laboratoryum ojca.

Ale już tam nie było można się dostać; bo zaledwie uszedł kilka kroków po stopniach peronu, gdy z wnętrza pawilonu wytrysnął gwałtowny, oślepiający słup ognia! Pomimowoli Stanisław cofnął się przerażony. Chciał raz jeszcze rzucić się naprzód, pomimo trzasku spadających belek i gryzącego dymu, który gęstymi kłębami buchał prosto w jego oczy, lecz cofnąć się musiał na wpół zaduszony i omdlały!

Książę, Piotr Moreau i lord Cateley, którzy nadbiegli na jego rozpaczliwe wołania, pochwycili go w swoje ramiona!

— Ależ to szaleństwo, mój drogi chłopcze! — szeptał Piotr Moreau głosem przytłumionym od wzruszenia.

— Mój ojciec! mój ojciec! — powtarzał uporczywie Stanisław. — Czyż go nie widzicie? Przy wspólnych wysiłkach ocalimy go jeszcze!

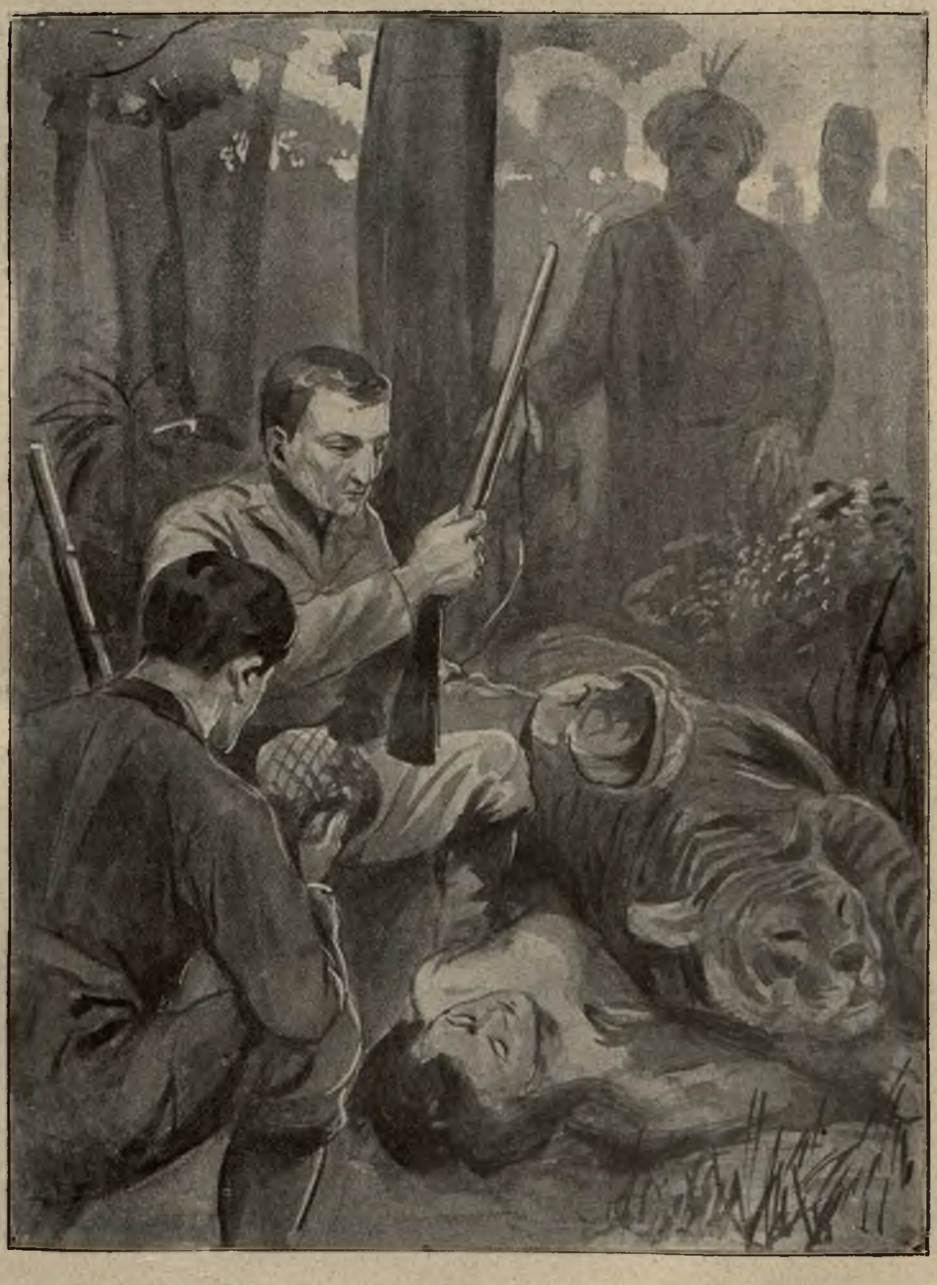
Rzeczywiście, pośród pożogi ognia, dostrzedz było można sylwetkę doktora, usiłującego powstać z ziemi... wokoło niego skakały rozszalałe zwierzątka, lecz trwało to tylko sekundę. Cały pawilon zamienił się nagle w jedno, wielkie syczące i trzaskające ognisko, wzbraniające każdemu przystępu do siebie.

Stanisław nie mógł znieść tego strasznego widoku, osłabiony wzruszeniem wsparł się na ramieniu księcia.

— Na nic się już nie przyda twoja odwaga, mój biedny chłopcze — wyrzekł serdecznie — Ojciec twój już nie żyje, a ofiara twojego życia byłaby już bezowocna!

— Oh! ojcze mój! ojcze! — łkał jak dziecko Stanisław.

Tak, jak przed chwilą, lord Cateley i Piotr Moreau przed trupem księżnej Sahadża, Stanisław padł na kolana, uderzając czołem o ziemię, a z ust jego wybiegł szept naiwny i rozpaczny.



Przed nimi leżały krwawe, okropnie zmasakrowane zwłoki nieszczęśliwej Leony Hardy.

— Ojcze mój najdroższy! Natura widocznie pomściła się na tobie za te wszystkie tajemnice, które jej wydarłeś!

Książę, lord Cateley i Piotr Moreau, zamienili ze sobą bystre spojrzenia, komunikując sobie myśli wzajemnie, nie wyrzekłszy słowa. Przekonanie, jakie obecnie wyraził nieszczęśliwy chłopiec, było poniekąd ukojeniem i pocieszeniem jego głębokiej boleści.

Książę wzruszony pochylił się nad klęczącym Stanisławem i podniósł go z ziemi.

— Niechaj przeświadczenie, że ojciec twój padł godnie ofiarą swojego zawodu, stanie się dla ciebie, najdroższe dziecko, pociechą w tym smutku. Pamiętaj zawsze, że poświęcił on swoje życie dla nauki, dla dobra ludzkości!

„Umarł dla wiedzy!"

Z polecenia księcia, wysłano natychmiast depeszę do Kalkuty, powiadamiającą o tragicznej śmierci Gewolskiego, a wiadomość ta rozejść się miała przez dzienniki po całym świecie.

— Zawezwany przez swego władcę, księcia Kiwani, do zbadania zarazka dżumy i wynalezienia na jego zwalczenie sposobu, sławny uczony, doktór Gewolski, z taką gorliwością przystąpił do pracy, iż nie czekał nawet na kompletne urządzenie swojego laboratoryum. Zaraz za przybyciem do Kiwani, wystarał się o wielką ilość szczurów, którym zaszczepił jad tej strasznej choroby i w nocy, kiedy w pałacu sądzono, że badacz śpi, oddawał się intenzywnej i niebezpiecznej pracy.

I to pośród tej pracy wydarzył się straszny wypadek, którego ofiarą padł nieodżałowany uczony! W laboratoryum doktora wszczął się groźny pożar, spowodowany prawdopodobnie krótkiem spięciem w aparacie elektrycznym, który w jednej chwili zniszczył pawilon, zbudowany z drzewa, lub też może doktór, oplątawszy się w druty, postrącał upadając wszystkie skrzynie, zamykające zatrute zwierzątka, które, uwolniwszy się ze swego więzienia, przegryzły przewody elektryczne, wywołując pożar?

Dosyć, że wśród nocy cały pałac został obudzony okrzykami, wydobywającymi się z laboratoryum doktora Gewolskiego.

Przypuszczają, że księżna Sahadża, mająca sen bardzo lekki, pierwsza usłyszała wołania o ratunek. Uczynna i odważna, jak zawsze, rzuciła się na pomoc, obudziwszy przedtem całą służbę.

Ale i ona, niestety, stała się ofiarą wiedzy! Stara ziemia hinduska zbuntowała się widocznie przeciw napływowi cywilizowanych Europejczyków... na drodze księżnej Sahadży stanął dziki tygrys, których nie brak w tych stronach...

— — — — — — — —

Książę Kiwani jest niepocieszony po stracie małżonki i przyjaciela.

— — — — — — — —

Pożar trwał krótką chwilę; pośród płomieni widziano doktora Gewolskiego usiłującego się ocalić... widziano również wielką ilość szczurów, biegających po laboratoryum w szalonej ucieczce.

Tajemnica pałacu Kiwani została ocaloną. Cztery tylko osoby wiedziały o niej, książę, lord Cateley, sekretarz Matjasi i Piotr Moreau, lecz ci nie zdradzą jej nigdy!

Straż zaś hinduska, która wtajemczona została w niektóre wypadki, nigdy o nich mówić nie będzie, wiedząc, że tu chodzi o bezpieczeństwo ich życia. — — — — — — —

Nazajutrz, odbył się wspaniały pogrzeb nędznych szczątków księżnej Sahadży i doktora Gewolskiego, którego szkielet, zczerniały i spalony znaleziono pod gruzami pawilonu.

Na rozkaz księcia obydwa pogrzeby odbyły się o tej samej godzinie.

I nikt nie dziwił się, że trumna księżnej nie została umieszczona w grobowcu książąt i księżniczek indyjskich. Księżna Sahadża była cudzoziemką, nie należała do świętej rodziny książąt hinduskich. Książę Kiwani postąpił więc bezwiednie w myśl swojego narodu, uważając księżnę po jej śmierci tylko jako chwilową morganatyczną towarzyszkę. Jednakże obecnych dziwiła potrosze zimna obojętność księcia Kiwani, której dawał dowody w ciągu długotrwałych obrządków. A przecież w tak tragiczny sposób utracił najdroższą swoją towarzyszkę i swego przyjaciela!

Przypuszczano jednak, że książę rozmyślnie panuje tak nad osobistemi uczuciami, aby tem gorliwiej oddać się naradom, jakie wiódł od dwóch dni z lordem Cateley, a których wynikiem było zupełne uspokojenie się ruchu rewolucyjnego w państwie.

Wkrótce lord Cateley, dziwnie przygnębiony i poważny, wyjechał, aby dalej po Indyach całych prowadzić swoją dyplomatyczną misyę.

Miss Ewangelina Goldenspeech była również niezwykle melancholijnie usposobioną, porzucając ten kraj, gdzie przeznaczenie uwolniło ją na zawsze od jedynej nieprzyjaciółki, jaką miała w swojem życiu. Była nad wyraz zgnębiona, że jest zmuszona opuścić swoją ukochaną uczenicę, księżniczkę Kitę. Ale postanowiły pisywać do siebie często, a gdy księżniczka powracać będzie do Europy, miss Ewangelina miała jej towarzyszyć. Bo może wówczas panna Lusia opuści ją, zaręczona będąc z woli księcia, który był tylko w tym wypadku wykonawcą woli swojego przyjaciela Gewolskiego, z synem doktora, Stanisławem.

A Stanisław całą duszą teraz oddawał się administracyi kraju Kiwani i polityce, jak niegdyś ojciec jego nauce i nie miał już zamiaru opuszczać Kiwani. Tu bowiem stworzy sobie ojczyznę i szczęście, szczęście przyćmione w tej chwili wyrzutami, że pozwolił ojcu pracować tej nieszczęsnej nocy w laboratoryum. Czyż nie byłby go ocalił, gdyby się wówczas znajdował przy nim?

Ale Stanisław, pomimo wszystkiego, nie mógł się oprzeć radości, patrząc w przyszłość swoją szczęśliwą i spokojną, na wielką, czułą miłość ukochanej jego Lusi! I codziennie zapytywał się, czy możebnem jest osiągnąć tyle szczęścia po tylu strasznych cierpieniach i przejściach. Los wynagradzał go teraz wspaniale, bo jedyne marzenie jego życia łatwo zostało urzeczywistnione!

— Gdyby mój ojciec mógł patrzeć na naszą radość — mówił Stanisław, patrząc rozkochanemi oczami na Lusię.

I oboje szli codziennie pomodlić się na jego grobie.

— — — — — — — — — — — —

Jedna tylko chmurka przyćmiwała ten jasny horyzont. Część serca swojego pozostawili tam, we Francyi, w małym domku Sannois, z którego nadchodziły co prawda wiadomości dobre i uspakajające: mama Morel utrzymywała w listach, że nie cierpi zbytnio nad rozłąką ze swojemi dziećmi i że rozumiała konieczność, zmuszającą je tam pozostać. Dumna była z przyszłego swojego zięcia i roli, jaką odgrywał obecnie w Indyach, ale — dodawała naiwnie — każdy człowiek ma prawo do odpoczynku — I miała nadzieję, że Stanisław na ten odpoczynek przybędzie z Lusią do Sannois, o ile naturalnie domek jej nie okaże się za szczupły dla niego po wspaniałych pałacach księcia Kiwani.

Ale w listach do Fernandy i męża mama Morel okazywała większe zniecierpliwienie. — Czyżby jej stary miał zamiar do nieskończoności odnawiać obrazy w galeryach księcia? A Fernanda także nie pomyślała o powrocie? Kogóż tam teraz pilnować miała? Fernanda odpowiadała, że ona również pragnie już powrotu i czyni sobie wyrzuty za to osamotnienie matki! Ale ani jej ojciec, ani wuj, ni Lusia nie chcieli zezwolić, aby odbyła tak daleką podróż sama, a ojciec jeszcze musiał kilkanaście miesięcy pozostać w pałacu Kiwani. A ile razy Piotr Moreau chciał otrzymać zwolnienie od księcia, tenże mówił, że się nie czuje zdrowym, lub utrzymywał, że mała księżniczka coś nieszczególnie dobrze wygląda i potrzebuje jego lekarskiej opieki.

No i naturalnie Piotr Moreau zostawał i leczył księcia i jego córkę, ale nie dawał rad uczonych i mądrych doktora Gewolskiego — tylko przystosowywał środki domowe, „babskie", jak je sam nazywał, otrzymując ten sam rezultat. — Zalecał dobry humor, spacery i wesołą rozmowę, bez której już dzisiaj książę obejść się nie mógł!

I nagle pani Morel otrzymała depeszę od księcia, w której prosi ją, aby bezzwłocznie opuściła Sannois i przybywała do nich, zaznaczając, że nie powinna się tem niepokoić, albowiem wszyscy w pałacu cieszą się najlepszem zdrowiem — lecz że szczęściu ich brakuje obecności tej zacnej kobiety, której nie zna jeszcze, ale wie, że jest dobrą i życzliwą.

I w ten sposób poczciwa pani Morel, która dotąd znała jedynie tylko przestrzeń pomiędzy Paryżem a Sannois i Saint-Sunacie — dokonała przejazdu z Marsylii do Kalkuty, gdzie oczekiwał ją mąż i Stanisław, z którymi już razem przybyła do Kiwani.

— A Fernanda? — zawołała zaniepokojona, pomimo uspakajających słów depeszy. — Gdzie jest Fernanda? A może co złego stało się twojemu bratu?

Poinformowano ją wówczas, że Fernandę zatrzymały w pałacu nowe jej obowiązki — tak samo jak Piotra Moreau — jego obowiązki lekarza. Bo na kilka dni przedtem książę Kiwani mianował go nadwornym swoim lekarzem — a Fernandzie poruczył pieczę i administracyę całego personalu żeńskiego, znajdującego się w pałacu — poznawszy jej stateczność i rozsądek niezwykły. Fernanda miała zaprowadzić w pałacu wszelkie ulepszenia domowe w dziedzinie hygieny i wygód europejskich.

— Widzisz więc, droga mamo — zawołała Lusia, rzucając się pani Morel na szyję — że już nie ma mowy o naszym powrocie do Francyi!

I pani Morel musiała się zgodzić na taki niespodziewany obrót sprawy, tembardziej, że Fernanda pragnęła ją gorąco zatrzymać przy sobie, jako główną ochmistrzynię pałacu. Wszystko to, dla tej dzielnej prowincyonałki z Sannois, było jak gdyby sen, urzeczywistniony z „Bajki tysiąca i jednej nocy"!

Nic więc już teraz nie brakowało do pełnego szczęścia całej rodziny malarza. Pani Morel jaśniała radością i dumą, jednakże od czasu do czasu cień jakiś przesuwał się po jej rozpromienionej twarzy. Jednego dnia, nie mogąc ukryć dłużej męczącej ją myśli, odezwała się z wielką prostotą do księcia:

— Wszystko to, jest bardzo pięknie, mój panie i jestem panu niewymownie wdzięczna za szczęście moich dzieci! ale — przemowę zacnej pani Morel przerwało piorunujące spojrzenie starego malarza i dotkliwe uszczypnięcie, jakiem uraczyła ją Lusia, szepcząc równocześnie do ucha:

— Mówi się, Wasza Wysokość!

— A więc Wasza Wysokość, mój panie — poprawiła się niezmięszana pani Morel — pozwoli biednej matce na jedną uwagę! Jeżeli wszyscy cieszymy się z blizkiego związku, młodszej mojej córki z panem Stanisławem — to znowu myśl, że moja starsza córka, Fernanda, zostanie starą panną w tym kraju, gdzie nie widzę dla niej męża, wcale mi się nie uśmiecha! Wasza Wysokość pan zrozumie, że pragnę mieć wnuczęta z obydwóch stron.

Książę odpowiedział, uśmiechając się chytrze:

— Eh, droga pani! po co to się niepokoić. — Już jakoś postaramy się o męża dla panny Fernandy!

Ale pani Morel z niekłamanem zdumieniem spojrzała na księcia! Czyżby książę zamierzał wydać jej Fernandę za jakiego dzikiego Hindusa?

Książę, widząc jej zmieszanie, pochylił się i szepnął do ucha:

— Niechno pani popatrzy na naszą piękną Fernandę! Uwaga pani wywołała rumieniec na jej twarzyczkę. — A mój stary Moreau. także zarumienił się, jak dziewczyna! Bo my jesteśmy wielką parą przyjaciół — rzekł książę, głos podnosząc — choć go niegdyś skazałem niewinnie na długie lata więzienia i wygnanie. — A jemu się zdaje, że ponieważ udało mu się uciec przed tem więzieniem we Francyi, wolno mu teraz rozporządzać swoją osobą do woli! On te lata więzienia odsiedzi tu, w moim pałacu! A jeżeli zechce uciec stad, tak jak stamtąd, to znam osóbkę, która jest zdolna na zawsze go tutaj zatrzymać. No i cóż tam, mój panie Moreau — zawołał książę, śmiejąc się serdecznie — dlaczego taką nieszczęśliwą zrobiłeś minę!? Oh! patrzcie, na mój honor, czerwieni się znowu! tak jak i panna Fernanda, której rumieniec nie schodzi z twarzy! Cóż to ma znaczyć, moi kochani!? Czyż nie życzycie sobie,. aby tajemnica wasza została odkrytą! Czy może macie żal do mnie, że tak otwarcie o niej mówię?

Mówiąc to, książę — powstał i ujął rękę Fernandy i Piotra Moreau.

— Oh! Wasza Wysokość! — wyszeptała Fernanda, ukrywając twarz zmieszana na ramieniu księcia.

— Cóż to wstydzisz się, Fernando? Dlatego zapewne, że chcę ciebie, tak młodą i ładną, wyswatać za tego starego wilka morskiego, który posiada, co prawda, jedyną tylko wadę, że za dużo latał po świecie.

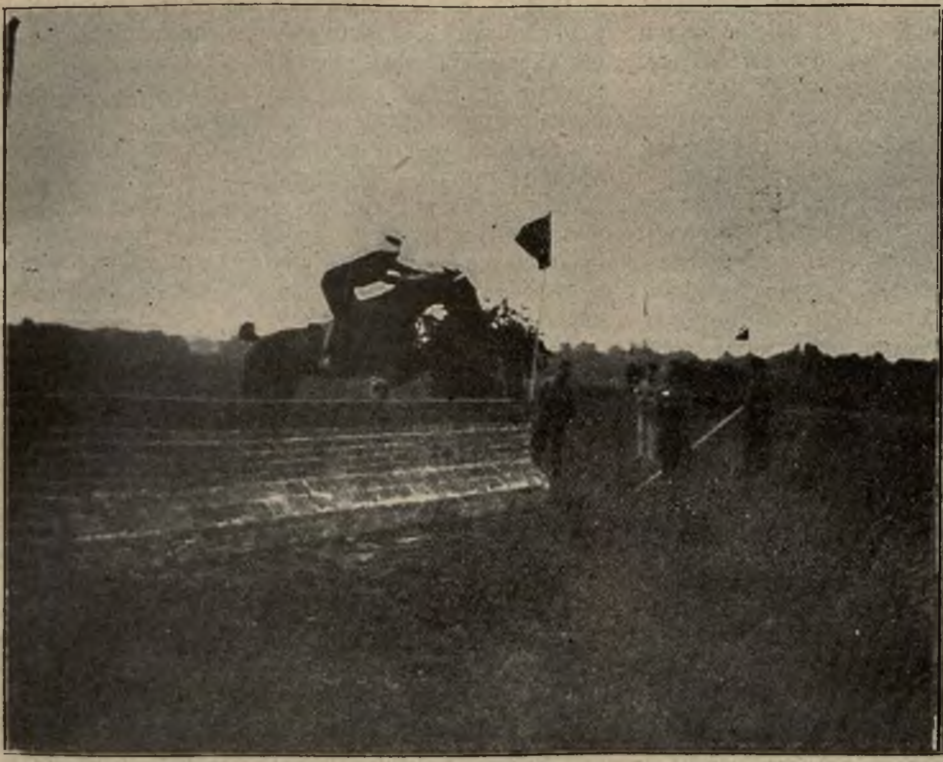
Ale Fernanda już się wyprostowała i zawołała w pięknym porywie dumy:

— Ja go nie od dzisiaj kocham, mój książę! Stało się to od pierwszej chwili, w której usłyszałam głos jego! I pomimo wszystkich przejść swoich i nieszczęść on musi przyznać, że jest wart najpiękniejszego i najmłodszego człowieka! Poczem, cała drżąca, upadła w ramiona Piotra Moreau, który po raz pierwszy w życiu uczuł się zmieszanym i niepewnym siebie.

— Moja mała! Moja mała Fernando! — szeptał wzruszony — ale, dziecko drogie, ja mógłbym być twoim ojcem! Czyż nie byłem nim wówczas, kiedy straciłaś swojego? Zastanów się, Fernando! Tyś nie powinna poświęcać swojego młodego życia dla takiego człowieka, jak ja. To jest dzieciństwo!

— Więc pragniesz chyba, mój wuju, żebym została starą panną! Bo przysięgam, że za nikogo innego prócz ciebie nie wyjdę! I choć jestem gorąco przekonana, że Lusia będzie bardzo szczęśliwa ze Stanisławem, to jednak wiem, że nie będzie z nim szczęśliwszą, niż ja z tobą!

K O N I E C.





Fragment z biegu — na wielkiej przeszkodzie. **Konkurs hippiczny w Krakowie:** Skok przez mur.

Nowy generał-gubernator warszawski zwiedza osobliwości Warszawy.

Wodociągi warszawskie słyną ze swych urządzeń, jako jedne z pierwszych w Europie. Dzieło inż. Lindley'a godne jest zaiste swej sławy, instalacye warszawskie, mimo kilkudziesięciu lat służby są doskonałe, sprawne i trwałe, niedościgły wzór krakowskich. To też wodociągi Warszawy należą do jej *curiosité,* zwiedzanych przez przybyszów, ale niedocenianych przez... Warszawiaków. Niechże przynajmniej tą drogą dowiedzą się, z czego faktycznie mogą być dumni — wodociąg, to zdrowie miasta, jego hygiena i środek długowieczności mieszkańców, należy on obecnie do zakładów nieodzownych większym środowiskom. Wyjątek na całym kontynencie stanowi Łódź, lecz ona jest wogóle poza konkursem. Wspaniałymi ich zakładami zainteresował się nowy generał-gubernator warszawski, gen. Żyliński, zwiedziwszy je bardzo szczegółowo.

Konkurs hippiczny.

Koła sportowe Krakowa, a głównie wojskowe, zajmujące się sportem hippicznym, miały w tych dniach atrakcyę z tej dziedziny, mianowicie konkurs na tutejszym torze w jeździe klasowej, skokach i wyścigach dystansowych, te ostatnie odbyły się poza torem na przestrzeni 10 klm. Jazda dystansowa stanowiła główny punkt konkursu ze względu na liczny udział jeźdźców oraz trudności biegu, jak przeszkody, z których jedna była rowem z baryerą, wypełnionym wodą.

Przy zwłokach Arcyksiążęcej pary.

(Do illustracyi na str. 2).

Smutny dla monarchii austryacko-węgierskiej pogrzeb obojga ofiar zamachu sarajewskiego był manifestacyą żałoby całego państwa. Do trumien pary arcyksiążęcej zmierzały tłumy i deputacye oraz współczucie całego świata. Z tej manifestacyi żałobnej zamieściliśmy już w poprzednim numerze szereg illustracyj.

Obecnie — jako ostatnie echa tragedyi sarajewskiej — podajemy fotografie z obrzędów pogrzebowych w Wiedniu. Pogrzeb ten odbył się według dawnego ceremoniału domu Habsburskiego z tą różnicą, że odjęto mu charakter oficyalny, poprzestając na mniejszej uroczystości.



Nowy generał-gubernator warszawski zwiedza osobliwości Warszawy: Generał-gubernator Żyliński na stacyi filtrów Z prawej strony w mundurze: Prezydent Warszawy, szambelan Müller, przy nim (w tyżurku) inżynier Emil Sokal, naczelny inżynier stacyi filtrów.

Kronika tygodniowa.

Mamy więc kanikułę w całej pełni.

Kraków opustoszał, jakby po wojnie, tu i ówdzie snują się ci, którzy wyjechać nie mogli, bo, albo nie mieli na to odpowiednich funduszów, albo brak urlopu stanął im na przeszkodzie, dość jest i takich, którym na wyjazd nie pozwoliły małżonki, albowiem dwa wakacyjne miesiące rezerwują dla siebie i wyruszają, ale bez swych tyranów, na letni wypoczynek.

Szczególniej Krynica cieszy się ich specyalnymi względami, niewiast też tutaj całe zatrzęsienie. Dość powiedzieć, że w jednej willi, powtarzam to na odpowiedzialność mojego znajomego, który właśnie stamtąd przyjechał, na czterdziestu pięciu lokatorów jest tylko dwu mężczyzn, reszta to płeć nadobna różnego wzrostu i tuszy w wieku od lat ośmiu do sześćdziesięciu. (Te ostatnie są zaś, jak wiadomo, najniebezpieczniejsze!)

Gdybym był młodszym i do tego kawalerem, jakże zazdrościłbym owym dwu osobnikom rodzaju męskiego!

Zabawa więc (czytaj: flirt) kwitnie w Krynicy i teraz dopiero nie dziwię się niewiastom, które wypowiedziały ruletce walkę na śmierć i życie! Czyż mogłyby wieść tutaj spokojny żywot, gdyby ich małżonkowie pod różnymi pozorami częściej się pokazywali, by podać rękę szczęściu... Wszak owoc zakazany najlepiej smakuje, a choć nie jestem z zawodu pomologiem, ruletkę do tego właśnie zaliczam rodzaju.

Mówiono potem, że owo francuskie konsorcyum kapitalistów zamierza przenieść salon gry do Żegiestowa, oparły się temu jednak tamtejsze kuracyuszki. A któż da radę, gdy się baba uprze?

Płci pięknej nie brak i w innych miejscach kąpielowych i klimatycznych, wszędzie też procentową przewagę ma nad mężczyznami, więc się nie nudzi, owszem o poszczególnych kawalerów lub za takich chcących uchodzić żonatych stacza formalne walki i w ten sposób czas zabija.

Kronikarz, jak już poprzednio miał zaszczyt być się chwalącym, jest też słomianym wdowcem, prowadzącym się bardzo cnotliwie, gdyż pozostaje pod stałym dozorem policyjnym stróżki, której odjeżdżająca żona mandat ten włożyła na serce i sumienie, wiadomo zaś, że kobiety, zwłaszcza na punkcie wierności małżeńskiej zawsze ze sobą współczują. Nie obawiam się jednak czujnego oka mej domowej cerberki, jestem przekonany, że wystawi mi jak najpochlebniejsze świadectwo moralności. Nie na to jestem mężczyzną, bym nie wiedział, jak ją chwycić za serce i zyskać jej przychylność. Choć brzydka, jak noc listopadowa, a stara, jak nie przymierzając floryański Rondel, robię do niej czasem „perskie oko", a kobiety to lubią, gdyż przypominają sobie młode lata...

Brakuje mi jednak żony, jej gwaru i ruchu, jakim napełniała mieszkanie od rana do nocy. Że zaś była wymowną, pozna każdy choćby z tego, iż mówiła nawet przez sen, by dopowiedzieć w nocy, czego za dnia nie mogła.

Nie mam się też z kim kłócić i sprzeczać, a to tak urozmaica monotonię codziennego życia... Słowem, przyznam otwarcie, ale w sekrecie przed żoną, iż mi jej teraz brakuje! Chętnie też podążyłbym za nią, albo może lepiej sam w inną zupełnie stronę, gdyby obowiązki zawodowe nie zatrzymywały mnie w Krakowie.

A żywot kronikarza, zwłaszcza w czasie kanikuły, jest nie do pozazdroszczenia, kiedy inni łowią pstrągi lub uganiają za brzankami, on musi polować na węże morskie i kaczki dziennikarskie. Zajęcie to zaś nie jest ani łatwem, ani przyjemnem.

Gdyby to bodaj udało mi się ustrzelić taką tłustą kaczkę, jak dziennikarzom wiedeńskim, za nimi zaś i niektórym mym kolegom krakowskim, władającym sprawniej nożycami, niż piórem!...

Angielski tygodnik „John Bull" pomieścił bezpośrednio po zamachu w Sarajewie wiadomość o odkryciu dokumentu, wystawionego przez poselstwo serbskie w Londynie, a zredagowanego w języku hiszpańskim, w którym mowa o bombach, wynagrodzeniu pieniężnem za usunięcie niewygodnej osobistości i t. d.

Nie wdając się w autentyczność, a wychodząc z zasady, że na bezrybiu i rak rybą, poważne organa polityczne przedrukowały ową bajkę z odpowiednimi komentarzami i dopiero po pewnym czasie przyznały się, że padły ofiarą angielskiego humorysty, który puścił wiadomość albo na własną rękę, by zadrwić sobie z polujących za sensacyą, albo też działał istotnie pod wpływem serbskiego poselstwa, chcącego *via* Londyn przemycić nieprawdziwy fakt na szpalty dzienników wiedeńskich i osłabić w ten sposób ich wrogie względem Serbów stanowisko.

Tak było, czy owak, figiel się udał, wielu łatwowiernych poszło na lep i dziś tego się wstydzą, zwalając całą winę na nożyczki, które nie wiedzą, co krają.

Polowanie za tego rodzaju kaczkami zajmuje lwią część czasu każdego dziennikarza, krakowscy są o tyle szczęśliwsi, iż właśnie na czas kanikularny przypadły dwa morderstwa, nie brakło więc przez kilka dni materyału do pisania. Przy tej sposobności odznaczyła się też suka policyjna, Aida, którą też postanowiono za to przedstawić do awansu, zupełnie zresztą zasłużonego.

Kronikarz „Nowości Illustrowanych" jest jednak w gorszem położeniu, jemu nie wolno pisać o samym tylko Krakowie, musi ogarnąć szersze horyzonty, by nie zgniewać niektórych P. T. Czytelników z prowincyi, którzy, nie czytając z powodu braku czasu innych pism, chcieliby za trzydzieści dwa halerze, wydane raz na tydzień, mieć kwintescencyę wszystkiego, co się stało na całym Bożym świecie.

Czarna melancholia ogarnia mnie też nieraz, gdy przyjdzie zasiąść do pisania kroniki. Natchnienia szukam zwykle na plantacyach, w cieniu rozłożystych kasztanów. nad sadzawką, po której falach pływa poważnie para miejskich łabędzi, cieszących się trojgiem potomstwa. Niestety, w ostatnich dniach wypędził mnie stąd dym, nieopodal ustawił magistrat piece, w których grzeje asfalt, służący do łatania dziur w bruku ulicznym.

Patrząc zaś na fale onej sadzawki, wyobrażałem sobie, że jestem księciem Wiedem, spoglądającym tęsknie na nurty Adryatyku i czekającym na łabędzia — okręt, mający go powieźć do ojczyzny. Na odjezdnem powie ów nowoczesny Lohengrin: „Berchtoldzie dziękuję ci,ześ mnie tu sprowadził!"...

Wcale jednak nie zazdroszczę mu korony książęcej i powiem, że nawet zadowolony jestem, że mogę nakryć głowę zwykłym słomianym kapeluszem, kosztującym zaledwie dwie korony i to kupionym na kredyt...

Od czasu przybycia do Durazzo nie zaznał spokoju i, zdaje się, nie pomoże mu ani Prenk Bib Doda, ani Boljetinac, trzeba będzie zbierać manatki i wracać do pruskiego *Vaterlandu*.

Kandydatów na następcę jest już dosyć, ostatnio zgłosił się książę Bonaparte, mający te „vory", iż jest posiadaczem kolosalnego majątku, prędzej więc porozumieć się zdoła z Albańczykami, którzy tego rodzaju brzęczącym argumentom chyba się oprzeć nie potrafią.

Zanim to jednak nastanie, tymczasem może wybuchnąć wojna Włoch z Grecyą. Grecyi z Turcyą, Austryi z Serbią i tak dalej. Jednem słowem, pokój europejski jest bardzo niepewny, wojowniczość daje się uczuć na każdym kroku, widzimy ją nawet i u krakowskich żołnierzy policyjnych, chwytających coraz częściej za miecze, by stanąć w obronie zagrożonego społecznego porządku.

S. p. Berta Suttner wiedziała, co robi, gdy się kazała spalić po śmierci. Z pewnością odwróciłaby się była w grobie, widząc, jak bankrutuje na każdym kroku anioł pokoju.

Polityka, zwłaszcza albańska, nie zna więc czasów kanikularnych, że jednak jest rzeczywiście „pod psem" o tem wie każdy, najlepiej zaś jej kierownicy, nie mogący wobec tej naprężonej sytuacyi wyjechać na letnie wywczasy.

W Krakowie mało jednak mówi się o szerszej polityce, nam wystarczy zupełnie miejscowa, której nici zbiegają się w pałacu Larysza i Wielopolskich. Ekscellencya, pan Leo, stoi silnie, jak nigdy, rozporządza zaś w radzie miejskiej taką większością, jakiejby mu hr. Stürgkh powinien pozazdrościć. Dowodem wybór obu wiceprezydentów i delegata, który wypadł zupełnie po myśli jeneralnego sztabu demokratów krakowskich.

Ale też pan Leo ma dzielnych doradców i przyjaciół, a hr. Stürgh tem się poszczycić nie może, każdy chciałby mu deptać po piętach, by w ten sposób wydeptać dla siebie jakowąś promocyę, bodaj pieróg ministeryalny, choćby bez teki.

Kanikularnie usposobiony Krakowianin, o ile został w mieście, nudzi się też i zobojętniał do tego stopnia, iż nawet w ubiegłą niedzielę i wtorek nie wybrał się na tor wyścigowy, gdzie odbywały się popisy hippiczne.

Miał jednak powód. nie było totalizatora, słusznie więc tłumaczył się: „Pocóż ja tam pójdę?"...

Przyznaję mu zupełną racyę. I ja tam nie poszedłem, nie będąc zwolennikiem ani znawcą końskiego sportu.

Jest jednak jeden sport, który mi się ogromnie podoba i sprawia prawdziwą radość, ilekroć spotkam jego zwolennika. Jest to zwyczaj chodzenia po mieście bez kapeluszy, wtajemniczeni powiadają, że w miarę postępu młodzież nasza zacznie się pokazywać publicznie i bez innych części garderoby...

I teraz dopiero przychodzę do przekonania, że nie miał racyi ów jegomość, który twierdził, że ma takiego pecha w życiu, iż. gdyby był kapelusznikiem, jest pewnym, że ludzie rodziliby się bez głów, by tylko on nie zarobił... Gdyby dziś żył, widziałby ludzi z głowami, ale bez kapeluszy i gorzko z pewnością zapłakałby, a ja z nim.

W miarę postępu zmienia się wszystko, zmieniają się mody, zmieniają i przysłowia. Dawniej mówiło się „...z mokrą głową", dziś powiadamy „z gołą".

Podobno jednak ma to być bardzo zdrowe, mózg, choćby najbardziej rozrzedzony, pod wpływem bezpośredniego działania promieni słonecznych, jak owa jajecznica w rondelku, tężeje, niech więc kapelusznicy narzekają, społeczeństwo z nowej mody może tylko odnieść korzyść.

O modach kobiecych nie wspominam, nie chcąc się wdzierać w nieswój referat, pozwolę sobie przecież przytoczyć część bajeczki, jaką wyczytałem w pewnem piśmie.

Młody wilk (czworonożny, nie na dwóch, jak ów poczciarz krakowski!...) wybrał się do miasta, by zobaczyć mody. Widocznie nie był bardzo zbudowany, poeta kończy bowiem w ten sposób:

> Więc zwierzętom takie wieście
> Powracając wilczek niesie:
> „Coś nieskromne stroje w mieście,
> Przyzwoiciej u nas w lesie!"

Przeglądając pisma z ubiegłego tygodnia natrafiłem na dwa artykuły, które szczególniej mnie zajęły. Jeden z nich poświęcony jest reformie kalendarza, drugi opowiada o pewnym starym kawalerze, Angliku.

Co do reformy kalendarza, o której dyskutowano na kongresie w Liége, to i ja zgadzam się na to, życząc sobie, by przedewszystkiem miesiące były krótsze, pensya bowiem nigdy mi do pierwszego nie wystarcza. Pozatem należałoby się postarać, aby święta Bożego Narodzenia, Wielkanocne i Zielone wypadały tuż po pierwszym, kiedy człowiek ma jeszcze pieniądze, cóż bowiem warto, gdy się jest gołym i nie można się zabawić?

Szczególniej w Galicyi, gdzie mamy ludność dwu obrządków, by zadowolić i jednych i drugich, należałoby wypłacać pensyę na pierwszego według kalendarza rzymskiego i greckiego, sądzę zaś, że nikt nie miałby nic przeciw temu. Pod względem brania pieniędzy panuje u nas wprost wzruszająca jednomyślność.

Co do innych postulatów, jakie tam poruszono, zgadzam się na nie z góry, nie mają bowiem dla nas szczególniejszego znaczenia.

Oryginalnym był również ów Anglik, leciwy starowina, który, umierając, cały swój majątek zapisał ośmiu niewiastom, byłym swym ukochanym... Każda z nich wzgardziła jego uczuciami i obdarzyła go koszem. Początkowo rozpaczał, chciał się nawet ze zmartwienia powiesić, gdy przecież z biegiem czasu zaczął się zastanawiać nad życiem, głęboką wdzięczność poczuł względem owych ośmiu, iż ofert jego ongiś nie uwzględniły i dając temu wyraz, przekazał im cały majątek do równego podziału, zaznaczając wyraźnie, że, choć nie mając własnego domowego ogniska nabawił się niestrawności, jedząc po restauracyach, zadowolony jest z tego, bo umie cenić wolność, choćby miała być nawet okupioną niedyspozycyą żołądkową!

Nie wiem więc, komu teraz wierzyć? Jedni powiadają, że małżeństwo jest prawdziwym rajem na ziemi, tymczasem zaś ów Anglik zadaje temu kłam, twierdząc zupełnie przeciwnie. Jako sam człowiek żonaty, nie wdaję się w bliższe roztrząsania dowodów *pro* i *contra*, bojąc się, bym nie doszedł do nieporozumienia z moją prawowitą władzą domową.

Ada Sari-Szayerówna.

Ada Sari-Szayerówna, której obecne gościnne występy w teatrze miejskim w Krakowie doznały niebywałego powodzenia i uznania całej prasy, jest stale angażowana w Petersburgu, gdzie zajmuje stanowisko pierwszej primadonny opery włoskiej. Publiczność tamtejsza nadzwyczaj ceni naszą rodaczkę, a bardzo ostra dla cudzoziemców krytyka miejscowa po każdym występie oddaje jej nadzwyczajne pochwały, podnosząc piękny i wyszkolony głos, cudowną koloraturę, umiejętne władanie głosem i nadzwyczaj dodatnie warunki zewnętrzne.



Ada Sari-Szayerówna.

P. Ada Szayerówna pochodzi ze Starego Sącza, gdzie ojciec jej jest cenionym i wziętym adwokatem. Od małego dziecka p. Szayerówna miała nadzwyczajny pociąg do śpiewu i muzyki i zaraz też oddała się z całym zapałem ukochanej sztuce, pobierając początkową naukę w Wiedniu, a następnie w Medyolanie pod kierunkiem najlepszych mistrzów, którzy przepowiedzieli jej niezwykłą karyerę i przyszłość.



Na rowerach do Anglii i Norwegii: Uczestnicy wycieczki z kierownikiem prof Wackiem w pośrodku.

P. Szayerówna nie zawiodła tych oczekiwań — występy jej w Rzymie, Neapolu, Florencyi, Medyolanie, następnie w Warszawie, Lwowie i Krakowie, dokąd zatęskniła, były szeregiem prawdziwych owacyi. Publiczność z niebywałym entuzyazmem oklaskuje młodą, a już sławną w całym muzykalnym świecie artystkę. Z prawdziwym zapałem powitał też Kraków obecne jej występy w operze lwowskiej.

Ada Sari wystąpi jeszcze tylko cztery razy w „Mignon", „Fauście", „Cyganeryi" i na ogólne żądanie w „Rigoletto". Będzie to zarazem pożegnalny występ tej znakomitej artystki.

Na rowerach do Anglii i Norwegii.

Jednym ze sportów, który łączy „przyjemne z pożytecznem" jest niewątpliwie umiarkowana jazda na rowerze, która poza zdrowym ruchem na świeżem powietrzu, dostarcza przyjemnych i pożytecznych wrażeń turystycznych. To znaczenie sportu kolarskiego zrozumiało lwowskie Koło cyklistów (młodzież szkół średnich) Tow. Zab. Ruch. Urządzono bliższe i dalsze wycieczki, a obecnie zorganizowało dwumiesięczną podróż na rowerach do Anglii i Norwegii. Wyjazd nastąpił dn. 2 lipca koleją do Pragi, a następnie parowcem do Litomierzyc, skąd młodzi cykliści udali się już na rowerach przez słynną ze wspaniałych widoków czesko-saską Szwajcaryę na Drezno, Lipsk, Wejmar, Gotha, Fulda, Frankfurt, Moguncyę, Luxemburg, Reims do Paryża. Z Paryża parostatkiem do Hawru, skąd brzegami Normandyji do Cherbourga, okrętem do wyspy Wright, zwanej ogrodem Anglii; przez Portmouth, Brighton do Londynu, Tamizą do Oxfordu i dalej na rowerze do Birmingham, Manchester i Liwerpolu. Przeprawiwszy się przez morze Iryjskie z Dublina przez Dundalk udadzą się do Belfortu. Po zwiedzeniu Ulsteru



Gościna śpiewaków lwowskich w Krakowie: Zespół operetki. 1) Felicya Brzeska. 2) Eugenia Markowska. 3) Helena Miłowska. 4) Amalia Kasprowiczowa. 5) Reżyser Józef Zaremba. 6) Zofia Faliszewska. 7) Henryk Miller. 8) Filip Kuligowski. 9) Kapelmistrz Józef Lehrer. 10) Józef Solnicki. 11) Leopold Zbucki. 12) Edmund Karasiński. 13) Eugeniusz Koszutski, 14) Stanisław Faliszewski.

krainy dzisiejszej rewolucyi i po przeprawie do Szkocyji z Port Patrick na kole do Glasgowa, Edynburga i Aberdeen, dalsza droga prowadzić będzie z Aberdeen okrętem do fjordu norweskiego Trondhjem. Po 50 klm. na rowerze w głąb gór Skandynawskich,



Jubileusz pedagoga: Dyr. Szarek (X) w gronie uczestników uroczystości.

koleją do Reitan, od źródeł aż do rzeki Glomen, nad jej brzegami już w dół na kole do Röros, Tonsat, Koppang, Minne do Chrystjanji. Stąd przez Karlstad, Orebro i jezioro Mälarskie do Sztokholmu, a w dalszym ciągu okrętem przez morze Bałtyckie do Gdańska, Wisłą do Torunia, w końcu zaś na rowerze do Poznania, Wrocławia, skąd koleją z powrotem do Lwowa.

Drogi pod koło będą mieli turyści około 3600 klm. tzn. 36 dni jazdy, tak, że na odpoczynki, zwiedzanie większych miast i przeprawy okrętami pozostanie dni 20. Powrót nastąpi około 20 sierpnia.

Wycieczkę bądź co bądź bardzo niezwykłą, poprowadzi znany ze swoich podróży do południowej Słowiańszczyzny i Hiszpanii, doświadczony turysta prof. R. Wacek.

Jubileusz pedagoga.

W końcu zeszłego miesiąca obchodził p. Stanisław Szarek, dyrektor XXXIX szkoły w Krakowie, dz. Dąbie, jubileusz 40 letniej chlubnej pracy pedagogicznej.

Działalność tego cichego, skromnego wychowawcy nie kończyła się tylko w szkole między czterema ścianami. Niósł on kaganek oświaty między lud, pośrednio przez dziatwę, oraz bezpośrednio stykając się z ludem w kółku rolniczem, czytelni i wszelkiej pracy społecznej. Wzbudzał w młodzieży szkolnej zamiłowanie do sadownictwa, pszczelnictwa, warzywnictwa, rozdał tysiące szczepów między włościan, które dziś przecudnym wieńcem otaczają zagrody włościańskie w Raciborowicach, Batowicach, Dziekanowicach, Zesławicach Prawdzie, gdzie poprzednio był na posadzie, a obecnie w całem Dąbiu. O działalności tej jubilata świadczą liczne uznania ze strony władz szkolnych, rady powiatowej i ministerstwa rolnictwa, tudzież liczne odznaczenia z wystaw ogrodniczych nie tylko w kraju, lecz i za granicą, jak medale srebrne, złote, dyplomy zasługi i dyplomy honorowe.

W obecnej chwili obywatele gminy Dąbie, wcielonej dziś do m. Krakowa, w uznaniu jego działalności dla dobra tej dzielnicy wybrali go po raz drugi swym reprezentantem do Rady miejskiej krakowskiej.

Gościna śpiewaków lwowskich w Krakowie.

Kraków jest miastem gościnnem z nałogu, lubi gdy go nawiedzają, oglądają i... zostawiają tu marki i ruble, które mają tę dziwną własność, że za jednego rubla dostaje się aż dwie i pół korony — a goście przeważnie liczą na ruble... Jest to gościnność zawodowa, lecz nie myślcie, że Krakowa nie stać na wyższe uczucia, ma on swe szlachetne przyjaźni i sentymenty, a przedmiotem ich to zespół lwowskich śpiewaków. Bo zasługują oni na to w zupełności, nawiedzają Kraków w porze najsmutniejszej, gdy opustoszały, palony słońcem lipcowem, spocony, lub też zalany deszczem naszego mokrego lata, nudzi się, ziewa i męczy w beznadziejności kanikuły. Goście lwowscy przywożą ze sobą, sztukę, śpiew, muzykę, balet, humor i temperament — to wszystko, czego naszemu miastu brak zwykle, a zwłaszcza w lecie. Jakże ich za to nie kochać — to też kochamy ich tak, jak okoliczność pozwoli, (słomiani wdowcy i wdowy).

Staggione lwowskiej opery i operetki, to święto dwumiesięczne muz wokalnych, tańca i muzyki, a przedewszystkiem wesołości. Trzeba jednak powiedzieć, że goście lwowscy na przyjaźń naszą zasługują w zupełności, tak zespół operowy jak i operetka, dzielnie prowadzona przez p. Zarembę, są doskonałymi, za każdym pobytem przywożą szereg rzeczy nowych, lub celniejszych wznowień repertuaru dawniejszego. A jak grają — świadczy najlepiej sala widzów, wypełniona codzień szczelnie publicznością. Ostatnio zaprezentowali nam goście lwowscy najświeższą nowalię muzy operetkowej, „Prymasa cyganów“, a stwierdzenie, że grają w nim: Miłowska, Brzeska, Markowska, Kasprowiczowa, Kuligowski,



Gościna śpiewaków lwowskich w Krakowie: Najszczęśliwszy obecnie artysta operetki, baletmistrz p. Eugeniusz Koszutski, który wygrał dwa terna w jednem ciągnieniu loteryi liczbowej.





Gościna śpiewaków lwowskich w Krakowie:

Bohaterzy „Prymasa cyganów“ po próbie z niewidocznym a głównym współpracownikiem, suflerem p. Beritzem (X).

Po próbie z „Prymasa cyganów“ — Kuligowski (rola tytułowa), Zaremba (reżyser) Solnicki (hrabia Gaston).

Solnicki, i Müller — wystarczy za najlepsze pochwały i reklamę dla wykonania. To też ludzie walą tłumnie do teatru...



Zwierzęca zbrodnia: Ofiara ohydnego zabójstwa ś. p. Jan Szymski.

Zbiegły adwokat.

Palestrę lwowską i tamtejsze sfery sądowe poruszyła w tych dniach sensacyjna wiadomość o ucieczce znanego w mieście adwokata dra Kasparka, który prowadząc szereg interesów i przedsiębiorstw, wskutek ostatnich niepowodzeń miał popaść w wielkie kłopoty pieniężne — i za jedyne wyjście z nich uznał wyjazd do Ameryki.

Zwierzęca zbrodnia.

W ubiegłą niedzielę wieczorem poruszyła Kraków zwierzęca zbrodnia, jaka zdarzyła się przy ul. Szewskiej w znajdującym się tam pod l. 16 zakładzie masarskim p. Aleksandra Grabowskiego. Dwaj czeladnicy tego zakładu posprzeczali się z sobą po powrocie z przechadzki i w kłótni jeden z nich, 20-letni Eugeniusz Gozdecki, będący w stanie nietrzeźwym, zamordował swego przeciwnika w okropny sposób nożem masarskim. Według opowiadań świadków kłótnię spowodował Gozdecki i na uwagę, by dał spokój, rzucił się na swego kolegę, 21-letniego Jana Szymskiego, zadając mu kilka strasznych ran długim nożem rzeźnickim. Mimo interwencyi kolegów zbrodniarz, jakby oszalał, i w furyi rzucił się na swą ofiarę. Ranny śmiertelnie Szymski padł na ziemię, a Gozdecki przyskoczył jeszcze do konającego i wbił mu w piersi nóż po samą rękojeść. Nóż utkwił w piersi z taką siłą, że dopiero po kilkakrotnem szarpnięciu zdołał wydobyć go z rany czeladnik masarski, Tadeusz Kasprzyk, który bezpośrednio po dokonaniu morderstwa wszedł do mieszkania. Szymski skonał natychmiast, a Gozdeckiego aresztowano.



Ucieczka więźnia z Tworek: Droga, którą Banasiewicz zbiegł: Z ganku (1) dostał się na kraty (2), stamtąd na najwyższy szczyt (3), następnie złapał się rękoma za rynnę (4) i przerzucił się na mur (5) okalający podwórze więzienne, z którego zeskoczył na zewnątrz.

Ucieczka więźnia z Tworek.

Nowoczesny sposób badania śledczego więźniów co do ich stanu psychicznego, jest wprawdzie humanitarny i zupełnie słuszny, lecz w wielu wypadkach ukróca znacznie całe postępowanie śledztwa i czas jego trwania dla stron obu z powodu... znikania strony oskarżonej, t. j. więźnia.

Symulanci, mimo bardzo przezornego więzienia ich, mają czas obmyślić sposoby ucieczki i, co ważniejsze, wykonać ją pomyślnie. Ostatnio zakład tworkowski był terenem sprytnego manewru jednego z trzymanych tam pod obserwacyą katorżników, niejakiego Adama Banasiewicza, skazanego za bandytyzm na pozbawienie wszystkich praw i 10 lat ciężkich robót. Banasiewicz odsiadywał już karę kilkakrotnie za rozboje, a ostatnio zasądzony, tak dobrze symulował obłęd, że posyłano go dwa razy

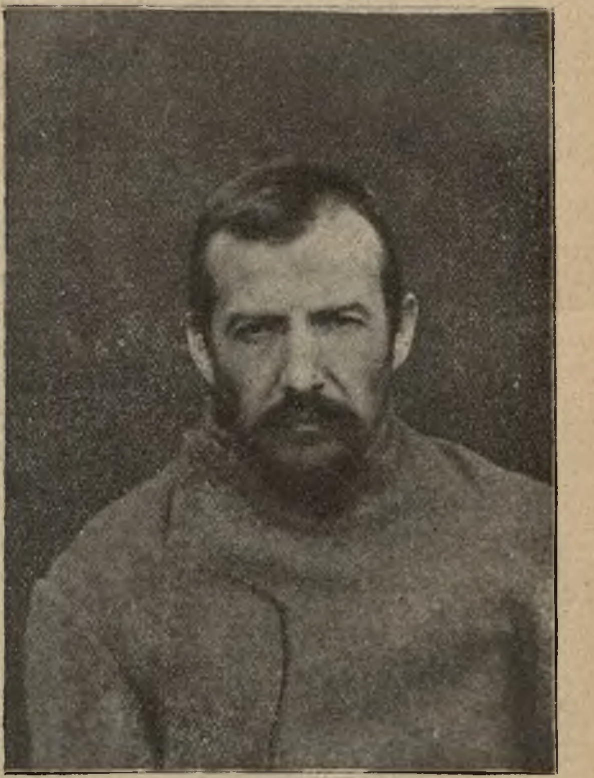


Zbiegły adwokat: Dr. Kasparek.

dla obserwacyi lekarskiej, z pod której zdołał się doskonale wydostać na całkowitą wolność. Ucieczka jego miała przebieg niezwykle romantyczny. Oto przed zakład w Tworkach zajechał w tych dniach samochód z siedzącą wewnątrz samotnie kobietą. Banasiewicz, najwidoczniej powiadomiony uprzednio, o której godzinie ma przybyć ów samochód, miał się na baczności i w chwili decydującej, omyliwszy czujność dozorców, wybiegł na podwórze, stąd zaś wydostał się do samochodu. Uczynił to zaś bardzo dowcipnie. Wyprowadzony wraz z innymi więźniami na przechadzkę do ogrodu, otoczonego murem wysokości dziewięciu łokci, Banasiewicz wszedł na ostatni stopień ganku pawilonu i tam zaczął urządzać figle gimnastyczne. Chwycił się krat okiennych i dotarł do rynny, odległej o półtora łokcia od muru. Wdrapawszy się po rynnie jak kot do wysokości ogrodzenia, rozbujał się jak akrobata cyrkowy i po chwili znalazł się na szczycie muru. Patrzyli na te ćwiczenia zdziwieni dozorcy, nawoływali, aby Banasiewicz zaprzestał ich, ale daremnie.

Trudną drogę ucieczki Banasiewicza przedstawia nasza illustracya.

Po przesadzeniu muru bandyta wskoczył do samochodu, a ten począł pędzić w kierunku Warszawy. Niestety wyboista droga nie pozwoliła ujść im pościgu, samochód wywrócił się w kałuży, Banasiewicz jednak zdołał zbiedz, a przyłapano tylko jego towarzyszy i ową kobietę. Są nimi 20-letni piekarz z Pruszkowa, Józef Zywert, mieszkaniec Woli 27-letni Hipolit Senderowski i jego żona. Mimo skrzętnych poszukiwań Banasiewicza nie przyłapano, znikł w poblizkich lasach.



Ucieczka więźnia z Tworek: Zbiegły symulant bandyta Adam Banasiewicz.

Oświata rolnicza w Królestwie Polskiem.

(Do illustracyi na str. 4).

Kraj nasz wszystkich dzielnic pozostał jeszcze wybitnie rolniczym, nie wszystkie jednak równorzędnie się rozwinęły. Skutek to całego splotu faktów i wpływów postronnych, które nam wciąż walą pod nogi przeszkody. W każdym razie z radością należy podnieść poprawę opłakanego stanu zeszłego stulecia; rolnictwo nasze doskonali się i rozwija coraz bardziej, a najważniejsze, że włościanie coraz większą otaczają go troską.

Gorączka emigracyjna i masowy pęd do przemysłu okazały swą zawodność; proletaryat jedynie pcha się do niego, drobnorolni starają się drogą komasacyi, melioracyi i selekcyi powiększyć rentowność swych gospodarstw.

Ostatnio w zeszłym miesiącu odbyły się w Częstochowie trzydniowe kursy rolnicze dla włościan, urządzone staraniem Częstochowskiego Towarzystwa rolniczego. Wykładami kierował członek zarządu p. Cygański, wykładali instruktorowie — członkowie Tow. rolniczego. Zainteresowanie się wykładami było znaczne. Kursy odwiedził biskup Zdzitowiecki, zachęcając gorąco do nauki rolniczej.



Ucieczka więźnia z Tworek: Organizatorowie romantycznego wykradzenia, Hipolit Senderowski i jego żona Anna.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 27.

Zadanie królewskie:

Chodź lekko, ona tu,
Pod śniegiem tuż,
Mów cicho, może tchu
Świadoma róż...

Jej włosów złotych pęk
Sieć rdzawych żył,
A postać, młodość, wdzięk,
Już tylko pył!

Trójkąt magiczny:

W ł o d z i m i e r z
Ł a g i e w n i k i
O s t r o ł ę k a
D u b i e n k a
Z a g r z e b
I z b i c a
M i n h o
I s i s
E m s
R a
Z

Przysłowiówka: Znać dobrze po mowie, co u kogo w głowie

Łamigłówka literacka:

B S K
a a l
n l l
B a n i a l u k a
S a l a m a n k a
K i l l a r n e y
u n n
k k e
a a y

Szarada: Moderato.

Bilety wizytowe: Cukiernik. Druciarz. Namiestnik. Garncarz. Robotnik.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D. Sedyńska Kraków, S. Wysoczański Poznań, S. Karwowski Gniezno, G. Górski Petersburg, J. Charzewski Kraków, M. Sokołowska Kraków, D. Zawadzki Jasło, R. Pawłowski Zamość, Z. Sperling Wiedeń, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Roland Warszawa, J. Trepka Sandomierz, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, J. Broda Rzeszów, R. Kinalski Kolbuszowa, J. Scholz Przemyśl, H. Nowacka Przemyśl, S. Linderski Jaworów, J. Leszczyński Rozwadów, T. Nikiel Kraków, F. Horak Oświęcim. T. Kępiński Łomża, K. Reichenberg Cieszyn, M. Raszka Cieszyn, J. Kruszelnicki Lwów, J. Zachara Mielec, K. Wyka Tarnów, S. Medyński Zakopane, J. Kwaśniewski Przemyśl, T. Trąbczyński Przemyśl, D. Schwadron Kraków, W. Świrski Piotrków, S. Rogozińska Kijów, H. Wolański Dąbrowa, M. Kunz Czerniowce, D. Engelberg Rzeszów, J. Halski Janów, K. Giżyńska Kijów, H. Gliński Kołomyja, J. Lewiński Piotrków, S. Krzyżanowski Podgórze, A. Biliński Lwów, R. Topolnicki Kamieniec, J. Pick Warszawa, J. Maciejowski Lwów, H. Bukowska Winnica, K. Sroczyński Wilno, M. Obst Lwów, K. Ostrowski Sandomierz, H. Wiewiórowski Jasło, J. Wilczkiewicz Sanok, J. Jakubowska Kraków, R. Obraczay Morawska Ostrawa, J. Lipski Kraków, J. Pawłowski Lwów, S. Fiala Lwów, A. Gralewski Kraków, S. Blätterfeind Kołomyja, D. Rosenbaum Rzeszów, S. Karczmarski Poddębie, M. Krawecki Lwów, A. Bandrowski Częstochowa, K. Kaim Kraków, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, H. Mróz Janów, M. Zamojski Lublin, J. Cieśliński Rzeszów, B. Sługocki Lwów, H. Mazurkiewicz Lwów, J. Kalinowska Mińsk, J. Antosz Tarnów, H. Popiel Warszawa, R. Michalski Lwów, H. Kozicka Tarnów, J. Pytel Kolbuszowa, C. Wang Tarnobrzeg, H. Lindenbaum Jasło, M. Klappholz Rzeszów, M. Münz Stryj, K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, H. Limanowski Warszawa, M. Cichocka Brzeżany, M. Oleksiukowa Wygoda, J. Opolski Tarnów, K. Radziński Lwów, J. Jabłoński Lwów. A. Siatka Kraków, J. Łopatkiewicz Rzeszów, D. Łopatyński Lwów, K. Ciesielski Warszawa, J. Wysoczański Jasło, A. Więckowska Warszawa, I. Brzostowski Podgórze, J. Strojek Tarnopol, R. Czarkowski Sokal, H. Trojacka Wiedeń, W. Potocka Tarnów, K Armatys Kołomyja, H. Piątek Podwołoczyska, J. Lisowski Sanok, D. Chmura Lwów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **H. Wolański, Dąbrowa.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

NADESŁANE.

Płomień życia.

Wszyscy – stosownie do rasy, do pochodzenia, budowy i „ułożenia", jak się to potocznie mówi – posiadamy pewną określoną ilość siły życiowej, z którą się liczyć należy, jeżeli chcemy zwyciężyć w walce o byt. Pod tym względem można porównać człowieka ze świecą, której knot posiada pewną określoną ilość.

Trzeba więc swój „kapitał" siły życiodajnej konserwować, a jeśli się wcześniej stosunkowo za wiele go wydało, trzeba braki odpowiednio uzupełnić, bo o zmierzchu życia może go zabraknąć, a ostatnie dni mogą być bardzo nieprzyjemne. Stąd wniosek, że od czasu do czasu uczuwa się potrzebę uzupełnienia i odświeżenia pracujących sił życiowych. W tym względzie istnieją rzekomo liczne sposoby, które do celu prowadzą. „Rzekomo", powiedzieliśmy; bo niejeden, który dąży do wzmocnienia i odświeżenia sił, myli się w przyczynie i skutku. Jakżeż wielu szuka ucieczki u wielkiego oszołomiciela – w alkoholu – który jest biedny, bezpłodny i nieużyteczny, jak każdy awanturnik.

Podobnie można powiedzieć i o innych środkach oszołamiających, które należą do towarów drogueryjnych, a które w krótkim czasie okazują się bezskutecznymi środkami podrażniającemi. Przeciwnie ma się rzecz przy środku Biomalz. Biomalz jest pokarmem nadzwyczaj skutecznym. Pożywność czystego wyciągu słodowego z jęczmienia była już w starożytności znana i ceniona, a łatwe trawienie czyni go środkiem pokrzepiającym dla żołądka. Tem jednak jeszcze nie wyczerpane są dobre właściwości tego wzmacniającego środka; albowiem glycerofosfat, który jest głównym składnikiem naszych nerwów, jest przymieszany w kilku związkach. Kto Biomalz pije i urządza sobie nim stałą kuracyę, czuje się już po krótkim czasie silniejszym i spokojniejszym, ponieważ w zupełnie naturalny sposób pomaga. Krok za krokiem, ale nie urywkowo, lecz jak kamień do kamienia się łączy, tak dzień w dzień uczuwa się doskonałe skutki tego preparatu, jeżeli się regularnie, bez opóźnień, zażywa małe dozy, jedną lub dwie łyżki stołowe. Tą wielką tajemnicą Biomalzu jest brak wszelkich sztucznych środków podrażniających: nastaje regeneracya sama przez się, następuje odrodzenie zużytego systemu nerwowego. Powstaje uczucie wznowionej możności oporu, uczucie wznowionej siły, o której się dawniej nawet nie marzyło. Doskonały apetyt, znakomity wygląd, wzmocniona siła robocza i dawno stracona ufność w siebie, powracają. Na jedno należy zwrócić uwagę, a mianowicie, że środek ten należy brać tylko przez pewien czas. Potem można kuracyę już przerwać i czuć się, jak odrodzonym.

Głosy publiczne.

Teatr świetlny „Uciecha", jak wiadomo, zaprowadził obecnie dwurazową zmianę programu w tygodniu. Publiczność przyjęła chętnie innowacyę, gdyż ma sposobność oglądać dwa razy w tygodniu nowe piękne programy. W obecnym tygodniu program jest bardzo zajmujący zarówno na pierwszą, jak na drugą połowę tygodnia i obejmuje pierwszorzędne obrazy; znamienną cechą programu jest lekkość, wesołość i urozmaicenie, tak dobrze odpowiadające obecnej letniej porze Nie tylko program jest odpowiedni na obecną porę, ale doskonale wentylowana sala pozwala widzowi zupełnie zapomnieć o skwarze letnim.

Program od soboty do środy obejmuje piękny dramat „O wysoką stawkę"; rzecz rozgrywa się na Riwierze francuskiej, w Monte-Carlo i w Algierze; dalej komedya „Wolność, Równość, Braterstwo" ze słynną aktorką Mizzi Parla, która tak misternie grała w komedyi „Jego pokojówka". Wymienić jeszcze należy najnowszą senzacyę amerykańską „Pociąg w płomieniach", humoreskę „Bubi bokserem" i widoki z Kairu.

Program na drugą połowę tygodnia, od środy począwszy, niemniej zajmujący i starannie zestawiony. Na pierwszem miejscu wymienić należy komedyę dramatyczną „Maryonetki" o wzruszającej treści, dalej znakomitą farsę amerykańską „Moje Bobo", śliczną francuską komedyę „Zdradzieckie Pyjama" z Leonem Perret w głównej roli, piękny dramacik jednoaktowy „Obok szczęścia". W program ten wchodzi jeszcze humoreska i zajmujące widoki z Marokka

Codziennie przedstawienia od 5 do 11. W niedzielę i święta o godz 3, 5, 7 i 9

Z półek księgarskich.

W Krakowie rozpoczęło wychodzić pismo, poświęcone sanacyi chromających stosunków pocztowych, telegraficznych i telefonicznych naszego kraju.

„Kuryer Pocztowy" wyświetlać będzie przyczyny wadliwego funkcyonowania poczty, telegrafów i telefonów, które opinii publicznej i prasie nie są znane, a temsamem, walcząc o usunięcie tych przyczyn, staje się pożytecznym sferom handlowym i przemysłowym, oraz szerokiej publiczności.

Nadzwyczaj nizka prenumerata, 2 K 50 hal. do końca roku 1914. umożliwia interesowanym korzystanie z tego czasopisma.

Adres Redakcyi i Administracyi „Kuryer Pocztowy" Kraków, ul. Kopernika Nr. 8.

Henryk Bojanowski: „Vae victis" — Romans. — Kraków 1914. Leży przed nami najświeższy w bieżącym sezonie utwór naszego powieściopisarstwa: — Henryka Bojanowskiego romans „Vae victis". — Tytuł sam wybornie skupia w sobie treść tej książki, pisanej zajmująco i z wdziękiem przez młodego autora, jak najlepsze na przyszłość rokującego nadzieje. Część akcyi odbywa się w rodzinnej dzielnicy jego, Wielkopolsce — znaczna część w Galicyi. Tu i tam wielki świat polski scharakteryzowany znakomicie w szeregu pysznych, żywcem, zda się, z natury naszkicowanych typów. Przeważa pierwiastek erotyczny, nader subtelnie pojęty i w szczegółach wycieniowany — lecz nie brak również i innych motywów, a zwłaszcza wielu oryginalnych, głębokich i wzniosłych, choć i tragicznych czasem refleksyi i myśli. Rzecz cała pisana jest najwidoczniej umyślnie bez żadnej tezy — li tylko jako wierny portret literacki naszych czasów z ostatniej doby, w odniesieniu do wysokich sfer towarzyskich w Księstwie Poznańskiem i w Galicyi, a pozatem, jako fantazya romantyczna, pełna pomysłowości, uroku i estetycznej harmonii w tylu i tylu kunsztownie zestawionych i rozwiniętych ideach. Pozostawia miłe wrażenie utworu wykończonego „w każdym calu" i z zupełną objektywnością poglądów.

Ze świata kobiecego.

Zabawy zielonego karnawału w Paryżu.

Gdybyśmy porównali sposób ubierania się i bawienia w Paryżu z tem, co się widuje w Krakowie,



Kilka kostyumów z balu „drogich kamieni“ u ks Broglie w Paryżu

doszlibyśmy do przekonania, że jesteśmy społeczeństwem nędzarzy i paryasów.

Paryż bawi się po królewsku; Paryż bawi się po rzymsku. Stolica republiki francuskiej mocno przypomina w tym okresie czasy ostatnich Burbonów i upadającego Rzymu. Ta sama szalona fantazya, subtelność smaku artystycznego, karygodna rozrzutność, przesyt i demoralizacya. W mieście, w którem nie ma tygodnia, żeby kroniki policyjne nie notowały jakiegoś samobójstwa, spowodowanego nędzą, często samobójstwa zbiorowego, odbywają się zabawy tak zbytkowne, że doprowadzić mogą do ekstazy najbujniejszego artystę, do rozpaczy prawdziwego altruistę.

Niech wystarczy powiedzieć, że w ostatnim tygodniu maja odbyły się w Paryżu trzy bale, prześcigające się wzajemnie oryginalnością pomysłu i bogactwem wykonania.

W pałacu hrabiny Aynard de Charbilan odbył się bal, zatytułowany — Noc Wenecka. Była to tak zwana zabawa ogrodowa, dzięki rozległemu parkowi ze stawami, jaki hrabina posiada w swej letniej rezydencyi pod Paryżem. Stroje dopuszczane były tylko skonstruowane z wzorów z czasów renesansu, dając pole bogatym Paryżankom do wystąpienia w przepysznych brokatach i przezroczystych tkaninach wzorowanych na wschodnich dowożonych przez kupców azyatyckich królowej mórz.

Hrabina de Béaru urządziła bal egipski, z którego dochód przeznaczony został na rannych w Maroko. Panie, zaproszone na ten bal, uczyły się specyalnych tańców, zastosowanych do muzyki, napisanej umyślnie przez wybitnego kompozytora Cuvillier. Bal mienił się bogactwem barw i kamieni jak najpiękniejszy kwietnik z podzwrotnikowej flory.

Zakasowała jednak wszystkie księżna Broglie, która wydała u siebie „bal drogich kamieni“. Skonstruowano w tym celu umyślnie lazurową grotę, mieniącą się kryształowemi soplami wśród tysięcy świateł, olbrzymiemi stalaktytami, jarzącemi miką, w której na nizkich siedzeniach oczekiwały na rozpoczęcie tańców przedstawicielki najwytworniejszego świata paryskiego, przybrane w fantazyjne stroje, symbolizujące: brylanty, rubiny, perły, opale, turkusy, szafiry. Reflektory, odpowiednio umieszczone, rzucały światła przechodzące z białego do zielonego i z błękitnego do zielonego.

Zdawało się, że zebrana tam arystokracya i świat finansowy, chciały rzucić w oczy ludzkości harde oświadczenie, że mają tyle klejnotów, że mogłyby za nie cały kraj uszczęśliwić, wszystkie łzy otrzeć... gdyby chciały!



Kostium szarej perły

A tymczasem, gdy postronny widz obserwuje ten przepych szalony, gdy, przeglądając pisma dla kobiet, przekonywa się, ile w nich poświęca się zainteresowania i entuzyazmu dla tych zabaw, a jak pomija się najdonioślejsze sprawy społeczne, mimowoli nasuwa mu się westchnienie: biedna, przebogata Francyo!

Na ogół w modach kobiecych zaobserwować się daje pewna zmiana linii i zmiana korzystna; mniej spętania w nogach, mniej rozszerzania bioder, tuniki długie, często za kolana, falbany mało marszczone i skracające figury. Natomiast najmodniejsze fasony okryć — z peleryną lub przypominające staroświeckie burnusy, mało nadają się dla osób niedużego wzrostu.

Kapelusze modyfikują się też coraz więcej. Bardzo modnem jest noszenie czarnych aksamitnych kapeluszy do białych lub przynajmniej jasnych sukien. Białe wysokie skrzydło lub rajer, hardo sterczące nad czołem, doskonale dopełnia całości. Kapelusze słomiane przeciwnie przybierają się kwiatami — dużą ilością kwiatów. Płaskie talerzyki z rzucaną na wierzch girlandą kwiatów i przygięte niemal do kształtu budki aksamitką podwiązaną pod brodą, nadając charakter „bidermajer“, mają dużo wdzięku i poezyi. Szerokie szarfy z wstążki deseniowej, wprowadzają miłą rozmaitość w monotonię stroju. Słowem moda się modyfikuje, nie przestając być ciekawą i urozmaiconą, a zatem modyfikuje szczęśliwie!

Furlana.

PLANETA ZGROZY.

Tłum. MARYA SEGENY.

9

Doktór zresztą wykazał wiele nieufności, słysząc od Ralfa Pitchera o szczególnych i nieprawdopodobnych przejściach młodego inżyniera. Aby go przekonać, musiał przyrodnik pokazać mu szczątki oryginalnej kuli.

Wówczas niewiara jego zamieniła się w głębokie osłupienie. Prosił usilnie o pozwolenie zabrania ze sobą jednej z rurek czerwonych, aby zaanalizować płyn w niej zawarty, którym się mocno zainteresował.

Ralf Pitcher przyczynił się do jego prośby, ale pod warunkiem, że doktór zachowa wielką tajemnicę o wypadkach zaszłych we willi.

Od tej chwili nastąpiło widoczne polepszenie w stanie zdrowia chorego. Rozmowa męczyła go jeszcze, ale sen miał głęboki i spokojny, a żołądek jego absorbował bez trudu wszystkie potrawy, przyrządzone mistrzowską ręką pana Frymcoocka. W willi zapanował ruch ożywiony, a miss Alberta czułaby się zupełnie szczęśliwą, gdyby nie smutne wspomnienie o stracie najlepszych przyjaciół, kapitana Wada i inżyniera Boleńskiego. Był to jedyny przykry dyssonans w tej harmonii odzyskanego szczęścia i spokoju.

Tylko jeden Zaruk nie posiadał ogólnej radości i uczucia bezpieczeństwa. Był silnie przygnębiony i wstrząsany ciągłymi napadami niepokonanego lęku. Utrzymywał, że dzinny, bo tak nazywał teraz stale niewidzialne istoty tak przez niego znienawidzone, krążą w wielkiej ilości bezustannie koło willi.

Nawet podczas najwyższego ożywienia dnia, słyszał trzepot i czuł wstrętny ich oddech na swojej twarzy. Przejęty tym śmiertelnym niepokojem, biedny Murzyn zamierał powoli, nie śmiejąc już teraz wyjrzeć poza próg willi. Stan jego pogarszał się z dniem każdym, a przekonanie, że nikt nie zwraca uwagi na jego ostrzeżenia, doprowadzało go do ostatecznej rozpaczy.

Niespodziewany powrót Roberta Darvela usunął wszelkie inne troski z umysłu jego przyjaciół.

— A zresztą — odpowiedział Ralf Pitcher na narzekania murzyna — teraz, kiedy zdobywca planet powrócił już na ziemię, znajdzie on łatwo sposób na odparcie zaczepki tych potworów, a w razie potrzeby na ich uwięzienie. — Murzyn, wcale nie przekonany tymi argumentami, potrząsał głową melancholijnie. Był tak wyczerpany tym bezustannym lękiem, że gdyby nie gorące przywiązanie, jakie żywił dla swego pana i miss Alberty, byłby już dawno uciekł z willi i poszukał schronienia na dalekich puszczach, na których przepędził dzieciństwo swoje.

Tajemnica planety Marsa.
Opowiadanie Roberta Darvela.

Pomimo niecierpliwości Ralfa Pitchera, rozgorączkowanego ciekawością do tego stopnia, że siłą woli tylko powstrzymywał się, aby nie zamęczać przyjaciela tysiącznemi zapytaniami kotłującemi się w jego rozpalonym mózgu, postanowiono zaczekać aż do zupełnego wyzdrowienia młodego inżyniera, aby posłyszeć z ust jego detaliczną opowieść nadzwyczajnych jego przygód.

Robert Darvel miał dwie godziny codziennie poświęcić temu interesującemu opowiadaniu.

Nigdy jeszcze czas nie upływał tak powoli dla miss Alberty i jej przyjaciół, a młodego inżyniera męczyła niemożność uczynienia zadość pragnieniu istot najdroższych.

Po tygodniu zupełnego wypoczynku Robert odzyskał już tyle sił, że mógł wstać i wsparty na ramieniu Ralfa Pitchera zaryzykował niedługą przechadzkę po parku.

Z prawdziwą rozkoszą, która wywołała łzy wzruszenia w jego oczach, wdychał orzeźwiające powietrze przepełnione zapachem myrtów, jaśminów i kwiecia migdałowego. Witał się z każdym krzewem, z każdem drzewem, jak z przyjacielem dawno nie widzianym i niezapomnianym.

Jeden tylko zapach przyprawiał go o natychmiastowy zawrót głowy i mdłości: zapach kwiatów laurowych — i uciekał przed widokiem tych wdzięcznych kielichów różowych z prawdziwą odrazą i lękiem.

Miss Albertę i Jerzego nie zadziwił bynajmniej ten objaw; kwiat lauru zawiera, na wiosnę szczególnie, olejek trujący, tem silniejszy, im wyższa jest temperatura klimatu. Jedna kropla tego olejku, wpuszczona do krwi, wywołać może momentalnie jej zatrucie.

Tylko jeden Ralf Pitcher, którego bujna imaginacya pracowała bezustannie, budował na tym zwykłym objawie przeróżne wnioski; wyobrażał sobie planetę Marsa pokrytą przeklętymi lasami, pod cieniem których istoty ludzkie koniecznie ginąć musiały, niszczone ich trującym oddechem.

Z większą intenzywnością, niż rekonwalescent po przebyciu zwyczajnej choroby, Robert Darvel cieszył się drobnemi przyjemnościami, towarzyszącemi jego powrotowi do zdrowia. Przybywał on bowiem z wielkich, nieziemskich przestrzeni i zachował jeszcze w umyśle swoim odcień dziwnej melancholii i skłonności do marzeń.

W pierwszych dniach żołądek jego osłabiony ze wstrętem przyjmował pokarmy; kilka łyżeczek mocnego rosołu z drobiu, następnie jajka na miękko lub skrzydło kuropatwy, po którem otrzymał pozwolenie na płatek krwawego mięsa i kieliszek starego wina, które, normalnie ogrzewając ciało, przywracało mu stopniowo dawną siłę i energię.

Wkrótce młody inżynier powrócił do tego stanu, w jakim się znajdował w Londynie, w przededniu wyjazdu swojego do Indyi w towarzystwie starego kapłana Ardaweng. Zaledwie kilka włosów, srebrzących się na skroniach i lekka zmarszczka, widoczna koło jasnych, zawsze pogodnych oczów zdradzały przebyte trudy i niebezpieczeństwa. Pomimo tego jednak wyglądał młodziej od Ralfa Pitchera a nawet Jerzego, chwilowo zeszpeconego ranami, otrzymanemi przy zniszczeniu laboratoryum.

Śmiejąc się, mówił do zdumionych swoich przyjaciół, że gotów jest w każdej chwili przedsięwziąć powtórną wyprawę i że dnie spędzone na niebezpiecznej planecie, pomimo śmiertelnych trudów, w których codzienie ryzykował swoje życie, należeć będą zawsze do najpiękniejszych jego wspomnień.

Widząc niecierpliwość miss Alberty, sam skrócił termin rozpoczęcia opowiadania o astralnych swoich przygodach.

Postanowiono więc jednego dnia, że całe towarzystwo zbierze się w popołudniowych godzinach, w wielkim salonie willi, z którego okien rozciągał się przebyszny widok na lasy, ciemniejące w dali i morze.

Zebranie to od pierwszej chwili nacechowane było uroczystą powagą, którą bezwiednie wszyscy byli przejęci.

Cisza, która zaległa pokój, gdy Robert Darvel spoczął wygodnie w szerokim fotelu, nie była tylko objawem dojmującej ciekawości, lecz podziwu i szacunku dla niezwykłego podróżnika.

Obok Roberta zajął miejsce Ralf Pitcher i Jerzy Darvel, a naprzeciw usiadła miss Alberta, której piękna twarz jaśniała wyrazem nieziemskiej radości. Poza młodą dziewczyną umieścił się lord Frymcoock, w wyproszonej roli stenografa. Wkońcu znajdował się tu także i Zaruk, wsparty na poręczy krzesła swojego pana i Cherifa, która usiadła na poduszce u stóp miss Alberty. Z różnobarwnych szklanych kielichów kwiatowych, iskrzących się jak drogie kamienie, płynęło na pokój łagodne światło, oświetlając miękko całą tę wdzięczną i artystyczną grupę.

— Moi kochani — rozpoczął Robert Darvel pośród skupienia wszystkich obecnych. — Czy wolicie, abym rozpoczął opowiadanie od początku, czy też od chwili, kiedy znaki z planety zostały przerwane?

— Ależ naturalnie, że od tej chwili — zawołał żywo Ralf Pitcher. — Niema się nawet nad czem zastanawiać, nieprawdaż, miss Alberto?

Młoda dziewczyna przytaknęła wdzięcznem skinieniem głowy.

— Mówiłeś sam, Robercie — ciągnął dalej Ralf — że opis, jaki podały dzienniki, był zupełnie dokładny i zgodny z prawdą, a umiemy go wszyscy na pamięć! Ulituj się więc nad dręczącą nas ciekawością, która od kilku dni poddaną jest ogniowej próbie.

— Niechaj będzie, jak sobie życzycie, moi drodzy — odpowiedział młody inżynier, uśmiechając się.

— Opis przerwany został w tem miejscu, w którem opowiadasz o uwięzieniu twojem przez te ludzkie nietoperze — objaśnił Jerzy.

Twarz Roberta Darvela na to przypomnienie spoważniała nagle, a w oczach jego odmalowało się wspomnienie dalekiej i przykrej przeszłości.

— Ah! tak — szepnął — uwięziły mnie! Zdaje mi się, że widzę jeszcze te ciemne wysokie sklepienia, podtrzymane tysiącami kamiennych kolumn. Ta intenzywna ciemność, rozjaśniona tylko tysiącami oczu, świecącemi jak karbinikaty, miała w sobie coś z szatańskiej wizyi. W tym półmroku, zrodzonym z tych fosforycznych promieni, dostrzedz mogłem nie bez trudu lśniącą powierzchnię kolumn i tę część wstrętną, podobną do aksamitnego czarnego całuna, utworzoną przez skrzydła rozłożone tych potworów. W sklepieniu tem unosił się zapach okropny — jakaś dziwna mieszanina piżma, pomieszanego z zapachem padliny. Ogarnął mnie lęk, przyznaję, bo któż na mojem miejscu zachowałby zimną krew i odwagę, ale w lęku tym więcej było wstrętu i zdumienia!

Kosmate i lepkie skrzydła dotykały mnie co chwila, a dotknięcie to sprawiało mi wrażenie nie do opisania. Byłbym zemdlał, gdyby mnie nie było podtrzymało silne naprężenie nerwów. Znajdowałem się pośród całego zastępu Erlooisów, które paliły mnie świecącemi oczami, rozżarzonemi ciekawością. Niektóre zbliżały się do mnie tak blisko, że czułem mdły ich oddech na swojej twarzy.

Wsunięty w zagłębienie skały — pozbawiony możności poruszania dzięki siatce z kory, którą byłem omotany — oczekiwałem lada chwila pożarcia przez te potwory.

Zdawałem sobie jasno sprawę z położenia i byłem przygotowany na wszystko.

Ilość Erlooisów zwiększała się. Nieskończona ilość gwiazd lub świateł wielkiego miasta, widzianego z aeroplanu, słabe może dać wyobrażenie o mrowisku tych ognistych źrenic, przebijających ciemności wokoło mnie i otaczających mnie ciężką chmurą. Potwory tłoczyły się. popychały się wzajemnie, aby mnie lepiej widzieć; od czasu do czasu wydawały groźne mruczenia, trzepocząc gorączkowo wstrętnemi skrzykłami nademną. I coraz to więcej przybywało ich: spadały ze sklepienia i wychodziły z głębin przepaści.

Wkrótce zaroiło się tak wokoło mnie, że mogłem z trudnością tylko oddychać i szmer wzrastał coraz silniejszy, nabrzmiały zduszonymi okrzykami gniewu i groźby.

Zadrżałem na myśl, że może sprzeczają się pomiędzy sobą, któremu przypadnę w udziale, że może rozszarpią mię żywcem, ale po godzinie takich piekielnych męczarni, wstrętny zastęp skrzydlatych potworów uspokoił się trochę.

Podziemie opróżniało się powoli, błyszczące źrenice stawały się mniej liczne. Erlooisy uchodziły szumiąc przeraźliwie skrzydłami.

Wkrótce zostałem pogrążony w tak intenzywnej ciemności, że wyrażając się biblijnym stylem, rękę mogłem jej dotknąć, odetchnąłem jednak z ulgą. Nie było to może jeszcze zupełne wyzwolenie, ale w każdym razie korzystna dla mnie zwłoka. Zacząłem wnioskować, dosyć zresztą logicznie, że te istoty nocne udały się za żerem.

Samotność sprawiała mi teraz wielką ulgę i dawała możność do rozmyślania i zastanowienia się głębiej nad sposobami ratunku, o ile by wogóle w tem położeniu jakie istnieć mogły.

Traciłem siły wprost ze zmęczenia, do tego mę-

czył mnie głód dotkliwy; bywały chwile, gdzie byłbym zasnął, ale myśl o grożącem mi ciągle niebezpieczeństwie zwyciężała tę słabość. Zastanawiałem się, czy nie uda mi się przeciąć o wystające odłamy skały choć część tej siatki, którą byłem okręcony i po chwili zabrałem się do wykonania tego zamiaru.

Trzeba było użyć wiele cierpliwości, ale miałem przed sobą noc całą, a nici, z których zrobiona była siatka, nie były tak silne i dobrze skręcone, jak nasze sznury ze lnu. Zdołałem już uwolnić moje prawe ramię, gdy otrzymałem w rękę cios tak bolesny i silny, iż nie mogłem się powstrzymać od wydania okrzyku bólu. Z ręki mojej krew spływała, oh! patrzcie, są jeszcze znaki pazurów Erlooisa.

Robert Darvel wyciągnął dłoń, na której widniało pięć głębokich czerwonych znaków.

— Nie spostrzegłem — mówił dalej — że stał za mną jeden z tych potworów, widocznie pozostawiony tu dla straży nademną. Gdy się odwróciłem, znalazłem się, o ile tak się wyrazić można, twarz w twarz z nim, palące jego źrenice zatapiały się w moich, a groźnem mruczeniem dał mi do zrozumienia, że wszelka myśl ucieczki jest szaloną.

Przyjąłem więc to ostrzeżenie do wiadomości i spokojnie zachowywałem się resztę nocy. Wkońcu nawet zmożony wrażeniami i zmęczeniem, zapadłem w sen głęboki.

— Zdaje mi się — szeptała miss Alberta drżąc nerwowo — że przestrach nie byłby mi pozwolił uczynić tego.

— Niema uczucia na świecie, któreby oprzeć się mogło zmęczeniu, doprowadzonemu do najwyższego stadyum — odparł Robert Darvel — Kilkakrotnie miałem tego dowody. A przypomnijmy sobie opowiadania najdzielniejszych żołnierzy, którzy wyczerpani, momentalnie zasypiali na polu walki, wśród jęków, huków armat, niepomni na własne bezpieczeństwo.

Gdy obudziłem się, podziemie było jeszcze pogrążone w ciemnościach, ale zdawało mi się, że miejscami ciemność ta czarna rzednieje już. Wyraźniej już występował zarys kolumn kamiennych, ciągnących się długą linią wzdłuż murów. Jednakże szczegółu żadnego jeszcze rozróżnić nie mogłem, wszystko tonęło w mroku gęstym, jak w chmurze czarnego pyłu. Ale z każdego niewidzialnego miejsca tych podziemnych korytarzów wznosił się głuchy pomruk rytmiczny i jednolity, jak gdyby dalekie warczenie maszyn motorowych.

Długi czas nie mogłem sobie zdać sprawy, coby to być mogło!

Wkońcu domyśliłem się, że to było chrapanie Erlooisów, które, zapewnie za nadejściem dnia, schroniły się do swoich kryjówek po odbytem nocnem polowaniu za żerem i teraz spały, uczepione pazurami u wystających kamieni murów. Przekonałem się o tem zupełnie, gdy, odwróciwszy się, ujrzałem potwora, pilnującego mnie, pogrążonego w śnie głębokim i chrapiącego przeraźliwie nad mojemi uszami.

Zmęczenie moje ustąpiło cokolwiek. Zacząłem rozmyślać, czy sen moich nieprzyjaciół nie daje mi dobrej okazyi do spróbowania powtórnej ucieczki.

Nagle posłyszałem gwałtowne trzepotanie skrzydeł, oczy jakieś zabłysły naprzeciwko mnie i uczułem się silnie pociągnięty za rękę, a równocześnie głos jakiś chrapliwy odezwał się rozkazująco:

— Chodź!

Poznałem Erlooisa, którego niegdyś wyleczyłem z ciężkiego zranienia i który mnie wydał swoim towarzyszom.

Doprowadziłem wielkim trudem do nauczenia się trochę języka Marsianów i do porozumienia się z nim.

— Gdzie ty mnie prowadzisz? — zapytałem.

— Chodź! — powtórzył, bijąc niecierpliwie skrzydłami i ciągnąc mnie brutalnie za rękę.

Przedtem jeszcze uwolnił nogi moje ze siatki, tak, że mogłem chodzić, lecz rękami poruszać nie byłem w stanie. Uczułem pod stopami chrzęst kości ze szkieletów zwierząt, chwilami znowu grzęzłem aż po kolana w jakiemś torfowisku elastycznem i miękkiem.

Szliśmy wzdłuż długiego korytarza, na końcu którego jaśniała plama, zwiastująca mi, że już dzień nadszedł.

Mój przewodnik nie posługiwał się skrzydłami, szedł, podskakując ciężko obok mnie, a skrzydła jego zwieszały się wokoło, jak strzępy białego, brudnego płaszcza. Zauważyłem, że ruchy jego stawały się powściągliwsze i niepewne, im bliżej byliśmy światła.

Przez chwilę sądziłem i wkrótce przekonałem się, jak to przypuszczenie było szalone, że zaczął żałować swojej roli zdrajcy i pragnie mi ułatwić ucieczkę.

— Gdzie mnie prowadzisz? — zapytałem, przybierając rozmyślnie ton rozkazujący, jak wówczas, kiedy był moim więźniem.

Podniósł lękliwym ruchem swoją łapę haczykowatą, dając mi znak, że mu ze mną rozmawiać nie wolno.

— Chcesz mnie zabić? — zapytałem spokojnie.

Potrząsnął przecząco głową.

Nic więcej z niego wydobyć nie mogłem. Moja zdecydowana postawa widocznie go onieśmielała, a jednak trwał w uporczywem milczeniu. Zastanawiałem się, gdzie i po co mnie prowadzi. Byłem wściekły, a poczucie mojej bezsilności potęgowało jeszcze moje rozdrażnienie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Zadanie konikowe.

Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

czy	w niej	nio	ko	jo	li	nie
mi	sy	spo	go	ny	cha	zna
ca	wa	świat	mym	głos	tknię	ca
ry	dźwię	ser	ty	ne	bo	ci
w niej	ni	ją	nie	gdy	i	roz
kiem	ca	ka	szłe	świe	świe	zwa
skarb	ży	cić	ba	na	ma	pa
po	się	prze	wie	mięć	wy	roz
raź	wa	trze	wi	li	czło	to
od	ca	te	szej	świę	się	były
i	niej	zy	w niej	ska	chwi	ta

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znaną polską maksymę:
Żal! Panicz Jaś E. C. codzień suki gości.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
Mięsiwo, leniwy, błękit, czas, wsie, Oka, nit.

Trójkąt magiczny.

Ułożyła Fr. Hirschówna, Nadwórna.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzą nazwisko współczesnego polskiego powieściopisarza

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Miasto w Niemczech. 3 Inaczej wychodźtwo. 4. Rośliny wodne. 5. Pisarz polski 6. Miasto na Syberyi 7. Kraj w Afryce. 8. Naczynie. 9. Dopływ Dunaju. 10. Pytajnik. 11. Spółgłoska.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
O! Co? Co? Sędziwa żaba ograła! Cygan, czuj!

Kwadrat magiczny.

Ułożył W. M.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Litery, wstawione w miejsce kwadratów, czytane od góry w kierunku przeciwnym ruchowi wskazówek zegara, utworzą nazwisko i imię polskiego bohatera.

□
□ — □
□ — — — □
□ — — — — — □
□ — — — — — — — □
□ — — — — — □
□ — — — □
□ — □
□

Znacznie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Przyjaciel Mickiewicza. 3. Imię żeńskie. 4 System zegarków. 5. Zwierzęta gróboskórne. 6. Część mszy świętej. 7. Uroczystość ludowa w Krakowie. 8. Inaczej poczciwi. 9. Spółgłoska.

Bilety wizytowe.

Ułożył Sz W. Kiliński, Kraków.

Z liter na biletach ułożyć zawód poszczególnych osób.

KAIN MIZNECKI

LEON JAN HAWYDT

HR. LEON KETTECKI

ERAZM LIKEJSKI

Szarada.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

A *drugie* znasz nasze dzieje,
Jak szczęk *pierwszych-drugich* w boju,
Zwoływał praojców naszych
Do *trzecich* i pogan podboju.

I jak *cały* przed wiekami
Naród nasz polski oświecił,
Nauczył, jak kochać Boga
I światło wiary rozniecił.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Orsyda:* **Własną drogą.** Powieść współczesna

KIMONO

Kraków, ul. Karmelicka L. 7

WYŁĄCZNY MAGAZYN i PRACOWNIA

Zamówienia uskutecznia do 4 godzin.

BLUZEK



Pierwszy Galic. Zoologiczny Zakład „Ornis".
założony w roku 1897 w Krakowie
odzn. 20 medalami rząd. i więcej jak 300 I-szemi nagrodami. Właść.: A. MUSIOŁEK Sklep: Kraków, ul. **Sławkowska L. 3 (Hotel Saski).** Hodowla: Dębniki willa własna. Menażerya: Dębniki, willa „Ornis", dla P. T. Publiczności otwarta. Zakład poleca po najt. cenach różne rasowe psy od najmniejszych karzełków do największych olbrzymów i drób, jaja do wylęgu. Harc. kanarki kolibry, gad. papugi, klatki, żywność itd. Wypycha tanio ptaki i zwierzęta. Bogato ilustrowane cenniki za nadesłaniem 5 hal. marki. 25-cio letnia fachowość.
Największy i jedyny polski zawodowy zakład tego rodzaju w całym kraju.

Rok założenia **1900**

Po drodze do Zakopanego

lub wracając, najlepiej zaopatrzeć się można w wszelkie **ubiory męskie** doborowej jakości, **gotowe lub na miarę**

W ZWIĄZKU KATOL. KRAWCÓW

W KRAKOWIE, Floryańska 7. — WE LWOWIE, Plac Halicki 7.

Broń

dobrze ostrzelona zaopatrzona w austr. stempel ochronny jak najlepszej jakości i dobrze wykonaną wysyła

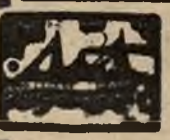
c. k. nadw. dostawca

Hanns Konrad
w Brüx Nr. 5387 Czechy

Rewolwer K 6·80, kieszonkowy flobert-pistolet	K 3·50
krócica	„ 3·20
flobert „Tesching"	„ 11·20
broń do polowania	„ 48·—
pistolet-browning kaliber 6·35 mm	„ 45·—

i wyżej w wielkim wyborze.
Katalog główny wysyła się darmo i opłacony.

Polecenia godna podróż dla przyjemności i zdrowia.



Przez Fiume do Dalmacyi, „ Wenecyi i Ancony, „ Albanii i Grecyi

Zupełnie bezpieczna i przyjemna podróż morska na pierwszorzędnym z komfortem urządzonym parowcu.
Informacyi udziela Agencya międzynarodow. Towarzystwa wagonow sypialnych
Węgiersko-kroackie Tow. „Fiume" dla okrętów parowych.

JAK Z BECZKI



tak świeże, czyste i mocne jest piwo flaszkowe napełniane senzacyjnym, patentowanym, amerykańskim

Napełniaczem do flaszek piwa „IKA"

Kwas węglowy nie uchodzi i niema straty piwa. Samodzielny usuwacz piany.

Cena z aluminium **K 14·—** na 1 fl.
„ „ „ **20·—** „ 2 „
„ z mosiądzu „ **17·50** „ 1 „
„ „ „ **25·—** „ 2 „

Wysyłka za pobraniem. Illustrowany katalog darmo i opłacony.

J. Korngut, Wiedeń, XXI/4 od. N.

I-sza fabryka zegarków Hanns Konrad

c. k. nadw. dostawca w Brüx Nr. 621 (Czechy).



wysyła dobre, pewne zegarki po najtańszych cenach z 3 letnią gwarancyą,

Nikl. zegarek Anker syst. Roskopf	K 3·90
Szwaicarski system Roskopf	„ 5·—
W stalowej schowce	„ 6·20
Zegarek Anker z białego metalu (srebro Gloria)	„ 4·80
o podwójnych kopertach	„ 6·—
Prawdziwy srebrny zegarek	„ 8·40
o podwójnych kopertach	„ 12·50
Srebrny zegarek z łańcuszkiem i wisiork. K 12·—, niklowy	„ 7·50
Prawdziwy srebray łańcuszek	K 2·90, 3·80
niklowy łańcuszek	„ 1·20, 1·40
Budzik	K 2·90
Okrągły zegar kuchenny	„ 3·20
Zegar wahadłowy	„ 9·—

Wysyłka za pobraniem pocztowem. **Bez ryzyka!**
Zamiana dozwolona lub zwrot pieniędzy.
Katalog główny wysyła się **darmo i opłacony.**

„KRYSZTAŁ" Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością.
Podgórze, Słowackiego 27 — Telefon 3232

POLSKA FABRYKA WARSZAWSKICH CUKRÓW i CZEKOLADY

poleca Warszawskie karmelki pierwszorzędnej jakości wyrabiane syst. **Witolda Sobolewskiego.**

Właściciele fabryki: Wacław Wasilewski i Ska.

YOHYDROL

znakomity środek przy przedwczesnem osłabieniu nerwowem

Rurki zawierające 10 pastylek po Kr. 2·65

Wilhelm Ehrlich
Apteka Kraków ul. Krakowska

MAGAZYN KRAWIECKI

A. BROSS

Kraków, Floryańska L. 44

tuż obok Bramy Floryańskiej.

ANGIELSKIE MATERYAŁY

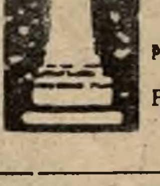
w wykonaniu

elegancya — punktualność.

P. T. Przejezdnym przymierza w dniu zamówienia.



Pewny skutek **lub zwrot pieniędzy. Przez lekarzy zaopiniowany** jako znakomicie działający, tysięczne listy z podziękowaniami każdej chwili do przejrzenia. **Jędrne piękne biusta** otrzyma się przez użycie **Dra med. A. Rixa Busen-Cremu.** Urzęd. stwierdzony jako nieszkodliwy, dla każdego wieku szybko i **pewnie działający.** Do użycia zewnętrznie. Jedyny krem na rozwój biustu, który z powodu nadzwyczajnego działania wprowadzony został do aptek, nadw. drogueryi etc. Próbna doza K 3·—, wielka doza, wystarczająca dla skutku K 8·—. Wysyłka pod ścisłą dyskrecyą Dra **A. Rixa** kosm.-laborat **Wiedeń IX, Bergg. 17**|V. Składy w Krakowie: Apteka Wiszniewskiego, ul. Floryańska 15; Reim i Ska, Rynek gł. 37. **We Lwowie** do nabycia: S. Rucker, apteka pod „Srebrnym orłem" ul. Krakowska 1, Perfumerya Sładowskiego. Bielsko: droguerya Polaczka, Kolejowa. W Cieszynie: Schw. Hunddrog. i Anckerdrog.



Zakład artyst.-kamieniarski i budowlany

Józefa Kuleszy

naprzeciw cmentarza w Krakowie

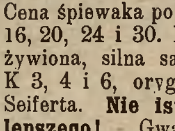
Telefon 1359.

posiada wielki wybór gotowych pomników z piaskowca, granitu i marmuru.

Podejmuje się wykonania grobowców w miejscu i na prowincyi.

I-a najlepsze

Harceńskie Kanarki



z wspaniałym, przeciągającym, głośnym i rożnotonowym śpiewem.

Cena śpiewaka po K 10, 12, 16, 20, 24 i 30. Dobrze odżywiona, silna samiczka po K 3, 4 i 6, oryginalny ród Seiferta. **Nie istnieje nic lepszego!** Gwarancya za zdrową dostawę — 14 dni czas próby. Rzetelna obsługa. Illustrow. cennik darmo.

FRIEDRICH SAUER, Wiedeń IX, Nussdorferstrasse 34.
Hodowca i rzeczoznawca sąd.

DROGA i TANIA NAUKA. W gazecie *„Gwiazdka Cieszyńska"* Nr. 37 z d. 8 Maja, a w *„Gazecie Narodowej"* Nr. 101 z d. 14 Maja 1912 r. i w wielu innych gazetach z 1912 r., wydrukowano artykuł p. t. **„Droga i tania nauka".** Żalił się we Lwowie krawiec p. Świstalski przed swoim stałym kundmanem p. Potulickim biuralistą, że musi robić ogromne wydatki wynoszące przeszło 2.500 kor. rocznie na opłatę szkół i na korepetyce, nie licząc w to kosztów utrzymania 5-rga swoich dzieci. Biuralista p. Pot. pocieszył majstra p. Ś. w ten sposób: Ja nie mogę się skarżyć na podobne koszta. Pomimo 2 klasowego wykształcenia mego w szkole realnej, uzupełniłem dalszą moją edukcyę przez pilne i wytrwałe samokształcenie się, Szczególniej, zaś przyswoiwszy sobie gruntownie języki: niemiecki, angielski, francuski i rosyjski z pomocą **Samouczków Reussnera,** bez nauczyciela, zajmuję dziś, dzięki znajomości korespondencyi w tych językach, stosunkowo świetną posadę z roczną **płacą 5000 kor.** — Przytem dzieci moje przygotowałem gruntownie sam przed oddaniem ich do szkół, we wszystkich przedmiotach szkolnych, więc teraz nie potrzebuję opłacać korepetetorów. Przeciwnie, starsze dzieci moje nauczają młodsze pod moim dozorem i kierunkiem, a oprócz tego zajmują się także poza domem korepetycyami dobrze płatnemi, za które zarabiają razem więcej niż 2800 koron rocznie, a to głównie dzięki znajomości języków nowożytnych, nabytej ze **Samouczków Reussnera,** za które wydatek kilku koron zwrócił mi się już dawno z lichwiarskim procentem. Albowiem, nauczywszy się z nich sam, nauczyłem potem moje dzieci nowożytnych języków i mogę jeszcze teraz otrzymać z powrotem wydatek zrobiony na **Samouczki,** które uważam za listy zastawne, przynoszące wysoką dywidendę. **Samouczki Reussnera** sprzedają wszytkie księgarnie. Główna sprzedaż w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego w Krakowie,** który wysyła I-szy zeszyt Samouczka po otrzymaniu marki pocztowej za 15 hal.



Do patefonu

bez tuby należy przyszłość.

Od najskromniejszej izby do najwykwintniejszego salonu, wszędzie dziś już jest **Patefon** na pierwszem miejscu, jako najpiękniejsza ozdoba i rozrywka.

S. Grudziński i T. Berger

Kraków, ul. Szewska 22/51. Telefon 305.

Gra szafirem. Czysta, głośna, piękna reprodukcya. Nowe modele w cenie od K 26·— do K 450·—. Cenniki darmo. W sklepie produkuje się bezinteresownie.

ZAKŁAD

plisowania, gufrowania i obciąganie guzików.
Kraków, ul. Grodzka L. 60
Parter B

Zmiana lokalu!

Handel delikatesów, restauracya i pokoje do śniadań
pod firmą **Karol Wołkowski** Kraków
obecnie **Rynek główny L. 15 (róg Grodzkiej). Telefon 366.**

Poleca z komfortem urządzony lokal, składający się z sali dużej, małej, garderoby i gabinetów na wesela, rauty, pikniki i zebrania towarzyskie. Urządza całe zastawy od najtańszych do najwykwintniejszych tak we własnych lokalach, jak i w domach prywatnych.
Wydaje obiady z trzech dań po K 1·10

LALKI

Zabawki, Konie na biegunach, Gry towarzyskie

poleca w wielkim wyborze

C. SZCZURKOWSKI W KRAKOWIE

ul. Grodzka 2

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.